

P. II 428

Biblioteka
Instytutu Badań
Lingwistycznych PAN

NURT

PISMO POŚWIĘCONE KULTURZE POLSKIEJ



NR IV
LIPIEC — SIERPIEŃ

1943

<http://rcin.org.pl>

Cena egzemplarza 10 zł.

TREŚĆ:

1. KULTURA W NIEBEZPIECZEŃSTWIE
2. POSTAWY NOWEJ POEZJI POLSKIEJ :
3. NA ŚMIERĆ FLOTY WOJENNEJ W TULONIE
4. POECI NA OBCZYŻNIE
5. BUNT MŁODZIEŻY
6. CZŁOWIEK, KTÓRY BYŁ
7. SPOJRZENIA :
 - a) Legenda na zamówienie
 - b) Wojenna muza
 - c) Samosąd
 - d) Pamiętajmy
 - e) Rocznica Hoelderlina :
 - f) Skradzione męczeństwo
 - g) Sprawa rewindykacji kulturalnych
 - h) Pijactwa narodowe



NURT

PISMO POŚWIĘCONE
KULTURZE POLSKIEJ

Rok I

Lipiec — Sierpień 1943

№ 4

KULTURA W NIEBEZPIECZEŃSTWIE

Wśród licznych już oznak zbliżającego się końca wojny, najbardziej zmiennymi będą próby wszczęcia wielkich dyskusji na tle moralnym. Jedną z nich, o Katyniu smyśmy świeżo w pamięci. Rozegrana z całym zasobem środków i metod nowoczesnej propagandy wygasła, nie wyjaśniwszy prawdziwego stosunku ciemnych sił, działających w tej wojnie. Nie została jednak zapomniana i tkwi gdzieś głęboko w sumieniu świata, odłożona, do chwili, gdy będzie można przedyskutować i rozstrząść wszystkie okrucieństwa, popełnione w tej wojnie. Druga jest w toku i wszystko przemawia za tym, iż będzie narzucana ludzkości z większym jeszcze uporem, niż pierwsza. Efektowniejsza od niej, gdyż nie dotyczy zniszczeń dokonanych na doczesnych ludziach a dziełach kultury uznanych już za „wieczne”, daje łatwiejsze i bardziej celowe pole do dialektycznego ataku. I obchodzi cały świat.

Nie będziemy przeczyć, że groza walących się monumentów kultury na które patrzeliśmy z uwielbieniem, my ludzie XX wieku, jest patetyczniejsza od wszystkich zjawisk tej wojny, godzi bowiem w to, w imię czego walczą wszyscy. Zniszczona katedra gotycka czy renesansowa Włoch, Francji, Anglii czy Niemiec jest wyrwą w fundamentach kultury wszystkich narodów zachodnich. Jest także i oznaką czegoś, co musi zastanowić i przerazić. Symbole ideałów giną ostatecznie, bo nawet, gdy już upadły ideały, otacza je zabobonna cześć świata. Symbole jednakże naszej kultury zachodniej mają jeszcze tą cechę, że są wyrazem doskonałego piękna, niezależnie od tego czy idee, którym służyły przemawiają jeszcze do dusz. Otacza je za tym cześć, niejako już bezinteresowna. Katedra gotycka zachwyca, jak wiadomo, nie tylko katolika, ale i protestanta oraz ateusza. Włochy były przedmiotem uwielbienia całego świata a monumenta Grecji wykopywali Anglicy i Niemcy. Poszukiwanie i odnalezienie rodowodu zachodniej kultury jest najszczytniejszą, choć może i schyłkową pasją XIX wieku. Odnalezione i zbadane jej monumenty zostały uznane za pewne „sancta sanctis”, nietykalne w potocznej grze sił. Stąd wyrósł też i pogląd, który dzieło kultury stawiał ponad samo życie.

Znamy scenę z Popiołów, gdy książę Gintułt rzuca się z gołymi dłońmi na żołnierzy polskich, którzy w krwawej dla siebie bitwie, skierowali armaty na sandomierski kościół św. Jakóba.

„Święte popioły rujnujesz i depcesz..” woła do dowodzącego baterią oficera — „Czyliż nie widzisz, co zburzą te kule?..”

„Widzę niegorzej od wasci. Ale zburzę święte popioły dla ocalenia żywego miasta”.

Czyż może być coś ważniejszego od walki narodu o wydartą mu niepodległość? A jednak ks. Gintułt, dobry Polak i szlachetny człowiek woli przegrać sporną bitwę, niż dopuścić do zniszczenia monumentów czasów, które minęły w bezspornej już chwale.

Aby dojść do tak wysokiego poglądu trzeba było XIX czy XXV wieków zachodniej cywilizacji. Dawniej było inaczej. Dzieło kultury tkwiło w samym sednie życia i dzieliło z życiem wszystkie dobrane niebezpieczeństwa. Kościoły, choćby jak piękne, jeśli same nie były warowniami, służyły za nie w każdej potrzebie. Pałace równały się zamkom. Miasta fortem. Grom wojny uderzał przede wszystkim w monumenty a monumenty stały poto aby ściągać gromy na siebie. Ginięły razem z klęskami narodu i nikt się tym nie oburzał. Gdyby świątynie w Reims, Kolonii czy Rzymie obrócono w perzynę w wiekach średnich a choćby i później, żaden dziejopis nie poświęcił by temu zdarzeniu więcej niż krótkiej notatki a żaden z ówczesnych moralistów nie łamał by nad tym rąk.

Przypomnienie to jest o tyle ważne, iż sprawa zbliżenia czy nawet ścisłego związania kultury z życiem i obciążenie jej odpowiedzialnością za wszelkie sprawy człowieka, z wzajemną, powszechną odpowiedzialnością ludzi za kulturę, była jednym z naczelnych haseł państw, które przystąpiły do wojny w imię przerożenia „zbutwiałego” Zachodu. Z państw tych najgłośniejszą podjęły ją Niemcy. Kultura w ich rozumieniu była o tyle wartościową o ile zrosła się z narodem w nierozdzielalną całość. Z chwilą gdy przyszło do wojny, jak wszystko inne stawała się jego orężem. Wiemy przecież aż nadto dobrze, iż w wojnie z Polską powołano do boju wszystko, co stworzył duch niemiecki. Książki, pomniki kultury, każdy dorobek cywilizacji.. nawet archeologiczne wykopaliska. Nikt ciężiej od nas nie odczuł realnych skutków tej osobliwej mobilizacji. Jakkolwiek bowiem absurdałne były jej założenia, umiano z niej uczynić zwarty łańcuch następstw, który poprzez gocki grób, dzieła Wita Stwosza i Łódzkie fabryki sięga wprost do Gestapo, Trzeba



przyznać, iż było to nowością, której z początku nie byliśmy w stanie nawet zrozumieć, a której z pewnością nie całkiem jeszcze rozumie świat.

Jakżeż się jednak stało, że Niemcy tak odkrywczym w tym nowym wartościowaniu kultury wszczęli dyskusję, domagającą się jej nietykalności i stanęli tym samym na stanowisku, które jest najbardziej charakterystyczne dla „zbutwiałego” przeżartego estetyka Zachodu? Powód jest prosty i nawet trywialny. Bomby, które dotąd waliły w ich wrogów, trafiły w miasta niemieckie i włoskie. Pod wpływem ich kultura, to wspaniałe i totalne narzędzie zbrojnej walki, stała się z powrotem idealnym, eksterytorialnym dobrem. Osobliwi i znamienni zwrotli Trzeba przyznać, że Rosja, która już przed wojną skończyła ze swą tradycją kulturalną była pod tym względem o wiele bardziej konsekwentną. Kiedy walec wojny miazdżył cerkwie i zachodniej Rosji, kiedy pod ogniem artylerii padały pałace Petersburga — nie zgłaszała ani słowa protestu. To zaś, co było ich własne, sowieckie: fabryki, kołchozy, domy proletariackiej kultury walczyły czynnie i bezpośrednio z armją i razem z nią ulegało zniszczeniu. W postawie tej widzimy owo wskrzeszone średniowiecze o którym marzyli Niemcy.

Zachodzi jednak pytanie czy protest, podnoszony przez Niemcy przeciw niszczeniu ich, względnie włoskich, dzieł kultury jest tylko propagandowym manewrem, czy też świadczy może o jakiejś głębszej przemianie pojęć, wyrastającej na podłożu cierpienia ich kraju i ludności. Czytaliśmy, że biskup Kolonii wybiegł z walącego się pałacu i spieszył ratować płonący tum. Znany nam jest głos duchowieństwa niemieckiego. Domyślamy się, że wielu myślących ludzi w Niemczech boleje szczerze i głęboko nad pogromionym dobytkiem kulturalnym zarówno ich ojczyzny, jak i Włoch. Chodzi tylko o to czy głos ich nie ma być znowu tylko orężem w ręku ludzi, którzy niezmiennie ponoszą odpowiedzialność za losy narodu niemieckiego bez jakiegokolwiek protestu z jego strony? Którzy nie przesunęli nic w swojej doktrynie totalnej wojny i trzymają się jej z niezmiennym uporem?

Procesy zachodzące w głębi narodowej duszy nie są łatwe do uchwycenia i trudno orzec, co sobie myślą dziś naprawdę wodzowie niemieccy. Niedawno jednak słyszeliśmy głos jednego z nich, który zapowiadał, iż wcześniej nim się Niemcy dadzą pobić, obrócą w perzynę całą Europę, tak, iż nie pozostanie z niej kamień na kamieniu. Razem z tą Europą zginą więc chyba i jej zabytki kulturalne. Można przyjąć, iż stanowisko to odpowiada wciąż jeszcze narodowi niemieckiemu, którego wyobraźni, poruszonej obrazem zniszczenia swych „dumnych” monumentów, nie śni się bynajmniej, zastanowienie nad okropnością wszystkich krzywd wyrażonych kulturze w tej wojnie a tylko zemsta. Nic nie upełniło by ją dziś jeszcze więcej, jak zrównanie z ziemią Londyn i... daleki niestety New York. Sprawiedliwość w pojęciu ich łączy się wciąż z obrazem zniszczonego do gruntu przeciwnika. Im głębsze będzie dno tego zniszczenia tym pogodniejsze niebo nad Niemcami.

Żaden naród na świecie nie ma tyle do powiedzenia co znaczy bezwzględność niemiecka w stosunku do kultury, co polacy. Pierwsze bomby i granaty na monument kultury padły w naszym kraju. Rzucane były świadomie i celnie. Żaden uczciwy człowiek nie będzie utrzymywał, iż

stało się to jedynie z konieczności strategicznych, wywołanych „obłąkana” obroną miasta. Zniszczenie za jednym zamachem materialnego i duchowego potencjału polaków, przebiega z ruin warszawskich jasno, jak Boży dzień. Bardziej jednak przekonywujące od owych wojennych bomb przemówią do nas bomby rzucone w kulturę narodu polskiego już po rozegranej wojnie, bomby, które niszczyły bez huku i wrzawy a czyniły zniszczenia o wiele głębsze od tamtych. Cztery lata już mija jak nie ma nad Warszawą bombardowców niemieckich a naloty na kulturę irwają. Wspomnijmy o paru największych: Zamknięcie wszystkich szkół wyższych, średnich i oddanie budynków uniwersyteckich na pastwę żandarmom. Wysłanie profesorów krakowskich szkół wyższych do Sachsenhofu. Zniesienie Belwederskiego muzeum pamiątek po Piłsudskim. Zniesienie pomników: Mickiewicza, Kościuszki, Grunwaldu w Krakowie, Szopena, Kilińskiego w Warszawie i wielu, wielu innych. Zamknięcie i rozformowanie Muzeum Narodowego w Krakowie i Warszawie, grabież Zachęty i zamiana jej w „Haus der deutschen Kultur”. Zagarnięcie fundacji i instytucji kulturalnych. Zabronienie książek narodowych pisarzy i poetów. I wiele, wiele więcej. Polak po tych „cichych” naloach nie ma ani jednej szkoły wyższej ni średniej, jednej sali wystawowej ni koncertowej, jednej fundacji czy instytucji we własnym zarządzie, jednego związku ni stowarzyszenia kulturalnego. W Polsce przez cztery lata okupacji niemieckiej nie wyszła ani jedna książka naukowa ni artystyczna, nie ukazał się jeden numer dziennika ni czasopisma, jedna sztuka narodowej poezji, jeden utwór muzyczny. Nie odbyło się jedno igrzysko sportowe, jeden obchód ludowy. W Polsce swobodna myśl kulturalna nieuchronnie prowadzi na pole egzekucji. Oto obraz prawdziwej, „totalnej” walki z kulturą, uzyskany w cichym i systematycznym wysiłku, bez szumu motorów i łomotu rozwalających się miast. I bez zwoływanych kongresów wewnętrznych i międzynarodowych.

Cztery lata patrzeliśmy i patrzemy bezsilni na dokonujący się dokoła nas pogrom kultury i nie zanotowaliśmy jednego drgnienia, jednego znaku, aby w duszy niemieckiej zaszły jakieś zmiany. Dlatego też dziś, skoro bomby sprzymierzonych padające na miasta niemieckie i włoskie, wydobły wogóle pojęcie kultury na powierzchnię życia i zmusiły Niemców do używania języka potocznego w zachodnim świecie — to chociaż los świątyń Akwizgranu i Kolonii nie może nam być obojętny — musimy się milcząc przypatrywać postępującemu dziełu zniszczenia.

Satysfakcji jednakże z jednej z tego powodu za nasze krzywdy kulturalne nie czujemy i czuć nie możemy. To, co pozostawiła po sobie historia zachodniego świata, przedewszystkiem we Włoszech, lecz także i w Niemczech przeniknięte jest humanizmem, w jego najszlachetniejszej, najszczytniejszej postaci. Ogólnoludzkość zachodniej kultury może być propagandowym frazesem dla państw, hołdujących totalnej wojnie, ale nie dla nas, którzy także i w walce pragnęlibyśmy zachować zasady moralne, na które pracowaliśmy przez wieki razem z innymi narodami.

Wojna obecna, jak żadna inna, sprzyja uczuciom zemsty, nienawiści i goryczy. Powoduje bowiem krzywdy wręcz niezrozumiałe. Polak patrzy y przeto na ruiny zamku królewskiego w Warszawie,

rozbite bombami i złupione ze wspaniałych resztek po rozbiciu, ulega nienawistnemu złudzeniu, iż ekwiwalentem za nie będą i powinny być zwalone zamki Berlina, Wiednia czy Rzymu. Zbrodnie na które patrzy codziennie, podsycają i podtrzymują pragnienie odwetu. Jest to „ludzkie” w tym gorszym, animalnym znaczeniu psychicznej reakcji. Może zresztą jest w tym i coś z dziecięcego, prymitywnego wyrachowania. Skoro bowiem, myśli niejedną, rozgromiono kulturę w Polsce, niech spadną na nią gromy i gdzieindziej, przede wszystkim na jej wrogów, aby szanse były równe i aby był sprawiedliwy dla nas start ku przyszłości. Rozumując w ten sposób jesteśmy już blisko owemu Niemcowi, który w razie przegranej Niemiec, obiecywał nie zostawić po wojnie w Europie „kamień na kamieniu”.

Marzenia o całkowitej zemście są na szczęście jeszcze mniej ziszczalne, niż o całkowitym pojednaniu. Europa nie będzie zniszczona w tej wojnie a w tym ogromnym, nieprzebranym zapasie kulturalnego dobra, który nam pozostawiły wieki szlachetnych uniesień i niestrudzonej pracy będą wypite jedynie szczyrby. Jest niezawodnie pewien błąd w twierdzeniu, że zniszczony skarb kulturalny jest nie do zastąpienia, gdyż nikt nie jest w stanie przewidzieć, ile nowej energii wywoła wydatka luka.

Ważniejsze przeto od ruin będzie wspomnienie, iż po XX wiekach kultury zachodniej powstał w Europie taki układ sił, który nie zdołał zapobiec ciosom w sam rdzeń jej duchowej kultury. Kultura jest zatem naprawdę w niebezpieczeństwie w tej wojnie, gdyż została z najgroźniejszej roz-

grywki ludzkiej wyłączona i dała się wyłączyć. Wojna obecna, tak jak ją w Polsce rozumiemy toczy się właśnie o powrót kultury do porzuconych placówek, gdzie zapadają decyzje o sprawach ludzkiego istnienia i ludzkiego życia. Jeżeli papież, jak głoszą Niemcy, ma opuścić Watykan, aby dzielić los ludności Rzymu, to, nie uczyni przez to wiele dla przyszłości świata. Chyba, że trafi do Kwirynału i pałacu Mussoliniego, aby mu wykazać złowrogie błędy, poczynione w tej wojnie. Głos humanistyki niemieckiej nabierze też dopiero znaczenia i wagi, gdy się rozlegnie w kwaterze Führera.

Także i pokój, który zakończy tę okropną wojnę, będzie tylko wtedy trwały, gdy da podwaliny pod budowę świata o mocnych podstawach idealnych i kulturalnych. Kultura nie potrzebuje żadnych wyjątkowych praw, jeżeli jest motoryczną siłą dziejów. Tworzy bowiem życie sama i sama kieruje losami świata. Gdy jej wypada ster z rąk do głosu dochodzą „barbarzyńcy”. Tak stało się dziś, pociesmy się, nie pierwszy i nie ostatni raz w historii świata.

Wszystko przemawia za tym, że pierwszy po wiekach najazd „barbarzyńców” na Europę, zrodzonych, rzecz znamienna, w jej własnym wnętrzu, będzie tym razem odparty. Któż jednak zlekceważy straszne ostrzeżenie, zawarte w ciosach, które spadły i spaść musiały w sam mózg i samo serce Zachodu? Kultura zachodnia jest naprawdę w niebezpieczeństwie. Zaradzić mu może tylko ona sama, wdzierając się z powrotem w opuszczony nurt życia. Jeśli temu nie podole, nie ma co żałować zwalonych gmachów i kościołów.

POSTAWY NOWEJ POEZJI POLSKIEJ

Gdy po pamiętnych dniach wrześniowych narodowa noc, jaka nastąpiła, wypełniła się po brzegi gromami potępienia rzucanymi na wszystko, co stanowi treść międzywojennego dwudziestolecia, niejedną z tych gromów doraźnej rewizji ugodził też w poezję tych lat. Nie trzeba się było zresztą byś wysilać, by znaleźć argumenty, wystarczyło bowiem sięgnąć tylko do archiwów dwudziestolecia, do książek, rozpraw i czasopism, by znaleźć tam wszystko ad usum rewizjonistycznej surowości: od zarzutu niezrozumiałości i jałowego estetyzmu po zarzut aspołeczności i sprzeniewierzenia się tradycji poezji polskiej. Należało tylko jeszcze wedle wzoru, dobrane go z albumu historii i literatury, ustanowić, jaką ta poezja być była winna, a jaką nie była — i ferowanie wyroku nie przedstawiało już żadnych trudności. Bo też nic łatwiejszego jak osądzić jakiś ruch czy jakieś dzieło, dowodząc czym ono nie jest. Tak rozpatrywany Homer nie wytrzyma zarzutu, iż brak mu dantejskich uniesień, a Dante nie obroni się przed tym, że nie posiada epickiej tężyzny Iliady. Postępując się podobną metodą, wywoływano z przeszłości olbrzymi cień wieszczkiej poezji, aby udowodnić, że nowa twórczość poetycka jest dziełem

niemal karłów, podsuwając przytym dyskretnie, nie mniej jednak uparcie ideał — epigonizmu. Gromowładni krytycy, uderzający w najwyższy ton, nie zdawali sobie zapewne sprawy z tego, że tak podchodząc do rzeczy, wydają wyrok tylko — na siebie, okazali się bowiem niezdolni ocenić ten niemiły wysiłek, jaki na przestrzeni lat dwudziestu dokonała poezja polska, a zapatrzeni w to, czym według ich mniemania być była ona winna, nie potrafili zrozumieć ni ocenić, czym ona istotnie była, innymi słowy, dokonać pracy może nie tak „górnej”, jak przykładanie do wszystkiego najwyższych miar, ale nieporównanie rzetelniejszej, jaką byłoby zrozumienie dążności tej nowej poezji i jej przemian. Przestrzeń czasu od roku wydania „Księgi ubogich” Kasprowicza (1917), będącej ostatnią manifestacją Młodej Polski jako zwartej formacji kulturalnej, a „Nutą człowieczą” Czechowicza (1939), ostatnim ważkim tonem poetyckim wydanym przed wojną, to okres, obejmujący bez mała trzy pokolenia poetyckie, od przygasającej Młodej Polski poprzez Skamandra do tego pokolenia, które w sposób najniewłaściwszy zwane jest pokoleniem awangardy, niewłaściwy nie dlatego, by zapierało się inicjatywy artystycznej pod-

suwanej terminem „awangarda”, ale z tej przyczyny, że termin ten prawdziwej treści tego pokolenia nie określa; to raczej już poprzednie pokolenie poetyckie, Skamandra, wraz z innymi duchowo i artystycznie pokrewnymi ruchami, zasługiwałoby na to miano.

By zrozumieć, jak ogromny nie tyle lat przedział, co przedział dokonania leży pomiędzy tymi dwoma datami, należy uprzytomnić sobie zasadniczą postawę Młodej Polski na tle warunków historycznych, w jakich ruch ten powstał. Urodził się on ze sprzeciwu tego, „co w Polsce było wówczas żywym, przeciwko trumiennoci vegetacji, w jakiej kraj cały wraz z jego piśmiennictwem był wówczas pogrążony. Na pokonanie owego czaru chochołowego nie było innej recepty, jak ignis sanati, nie było innego sposobu, jak zburzenie wszystkich Wawelów (niech o tym zechcą pamiętać wyłośli krytycy najnowszej poezji!) Tetmajerowski wiersz „Lubię, kiedy kobieta”, urosła w tej atmosferze do czynu rewolucyjnego. Zaczęła się walka życia ze śmiercią o nieznanym u nas natężeniu, i z tego to zmagania każdego żywego Polaka z przemożnym czarem możliwie jak najwygodniejszego obumierania wyrósł ten wspaniały solipsyzm Młodej Polski, ów bałwochwalczy kult indywidualności, która nie dała się zamknąć żywcem w trumnie, ów dionizyjski witalizm rozpazania, który nie walczył już o taką czy inną formę istnienia, ale o samo najprymitywniejsze do niego prawo. Rzeczy można, iż był to pierwszy polski nowoczesny prymitywizm, zdający sobie zresztą dobrze sprawę z granic, jakie zakreślały mu jego „sny o potędze”. Społeczną jego realnością było esamotnione ale drapieżne indywiduum, które z obrazoburczą bezwzględnością orzekło, że primum vivere, gdyż dopiero na tej podstawie budować można wszystkie przyszłe kościoły, których zresztą nie wszyscy się zapierali. Jako ruch jednak istnieć mogła Młoda Polska tak długo, jak długo ten protest życia przeciwko śmierci był aktualny i istniały prymitywne racje jego istnienia, jak długo amorficzny kult życia był taranem rozwalającym bramy grobowca, aby otworzyć przed buntownikami dalekie widoki na zalane letnim słońcem równiny. W tej swojej postaci musiał on jednak, jak wybrańcy bogów, umrzeć młodo, tuż za progiem rozwalonego grobowca, amorfizm bowiem jest czymś, co pełni się raczej w mrokach katakumb: życie go nie znosi, życie jest „formistyczne”.

Krótkim też stosunkowo był żywot Młodej Polski jako formacji kulturalnej. Właściwie siedem lat: 1900 — 1907. Śmierć Wyspiańskiego i ukazanie się „Legendy Młodej Polski” Brzozowskiego, było już właściwie podkreśleniem jego bilansu, i choć wiele z wybitnych przedstawicieli Młodej Polski żyło i tworzyło po tym jeszcze czasie, ukazanie się „Księgi Ubogich” można uznać za istotnie graniczną datę, zamykającą epokę młodopolskiej burzy, co przeminęła szybko, pozostawiła jednak dzieła nieporównane, a co najważniejsze, jakby w jakimś przeczuciu zbliżającej się niepodległości (a poezja polska zawsze jest pełna przeczuc, aż po dni dzisiejsze!), wybiła nowym pokoleniem drzwi i okna na nowe życie i nowe możliwości. Bez tej indywidualistycznej rewolucji Młodej Polski poezja Skamandra i jego pokolenia byłaby niemożliwa; zresztą w herostratowych odruchach np.

Lechonia, wciąż jeszcze dosłuchać się można dalekich poddźwięków tamtej burzy, nieporównanie jednak intensywniej przeżywanej przez ówczesnych poetów.

Zdawało się, że po młodopolskich eksplozjach życie znów się ułoży do snu; ale przyszedł czas wojny. Ona to, a raczej jej wyniki, stały się ziemią i glebą dla nowych poczynań, na razie jednak, tuż przed rokiem 1914 i tuż po nim, uspokojone flukta poezji płynęły równo i klasycyzująco nawet wśród brzegów Muzeionów. Bóg inicjatyw odszedł jednak Młodą Polskę, znów się stało w ojczyźnie „laurowo i ciemno”, a nieznacznie, nieśmiało wykluwać się zaczęły nowe orientacje. Na opustoszałym firmamencie poezji, gdzie królowała niepodzielnie gwiazda śpiewaka „Gafęzi kwitnącej”, pojawiła się za sprawą Miriama inna jeszcze: Norwid, której wpływy astralne miały tak zaważyć na poezji następných pokoleń; na razie była ona tylko nowoodkrytą wielkością, obcą i jeszcze daleką.

Przed tymi, którzy mieli objąć spadek po Młodej Polsce, stało zagadnienie: co uczynić z tym wywalczonym i zdobytym w rzetelnym boju prawem do życia i z życiem samym. Młodopolski ortodoksalny kult żywiołowości i amorfizmu nie mógł dać na to odpowiedzi, choć w łonie samej tej formacji kulturalnej, w osobach: Wyspiańskiego, Micińskiego czy innych, nie schodzono bynajmniej temu zagadnieniu z drogi. Raczej domnemaniami i przecuciem dać oni mogli na to pytanie odpowiedź; cisza, jaka zaległa teraz dziedziny polskiej poezji, tym bardziej wydawała się duszna i groźna.

Z utajonych niepokojów tych dni urodził się „Zdrój” poznański i tamszyszy „ekspresjonizm”, będący właściwie pomostem pomiędzy Młodą Polską a „przyszłymi laty”. Jerzy Hulewicz, twórca „Zdroju”, bardzo szybko wczuł się w ówczesną sytuację; stąd z jednej strony wnoszenie kręgosłupa ideowego, co wyrażało się religijnymi a po części społecznymi orientacjami jego grupy, z drugiej zaś poszukiwanie nowej formy artystycznej, którą próbowano stworzyć w nawiązaniu do ekspresjonizmu. Że z tych dwóch dążeń pierwsza okazała się ważniejszą, to udowodnił dalszy rozwój „Zdroju”. Natomiast hasła ekspresjonizmu nie dały się przenieść na grunt polski, i to z różnych przyczyn. Poezja ekspresjonizmu z jej abstrakcją od rzeczywistości, z tendencjami politycznymi i technicznym swym nowatorstwem nie mogła w Polsce przedstawiać coś tak bardzo nowego tam, gdzie dzieła Wyspiańskiego i Micińskiego stworzyły pokrewną ekspresjonizmowi technikę słowną i dramatyczną na długo przed powstaniem tego ruchu w Niemczech. Po drugie, ekspresjonizm reprezentował w swej negacji istniejącego ładu, artystycznego i ideowego, znów ową duszę in abstracto, której w dużej mierze Młoda Polska zawdzięczała swe istnienie, stanowiąc drugą generację buntu, a to właśnie, szczególnie po antiromantycznych krucjatach Brzozowskiego, wydawało się przychodzącemu teraz do głosu pokoleniu czymś zbyt czystym. Mimo pewnych wysiłków, szczepionka ekspresjonizmu nie przyjęła się. Jeśli do czego bowiem dojrzewała wówczas uczuciowość polska, to raczej do nowego rodzaju klasycyzmu.

Przyglądając się zmiennej grze kształtów, zwanego życiem, skłonni jesteśmy każde zjawisko uważać za coś tak jedyne i odrębne, jakgdyby by-

to ono czymś absolutnie samorodnym, jak gdyby wspólne korzenie nie odżywiały tworów pozornie najzupełniej odmiennych, w rzeczywistości będących jednak odroślą tego samego pnia. Jeśli krytyka nasza przekracza granice tej w gruncie rzeczy opisowości, to po to zazwyczaj, by ugrzęznąć w marksistowskiej metafizyce. Zduje się jednak, że nie jest to jedyny sposób przejścia od wielkości do jedności. Znakomity Vilfredo Pareto, uprawiając egzegezę objawów społecznych, stosował inny schemat interpretacji. Wycodził on z założenia, że dno zjawisk stanowi podziemny, utajony nurt, którego zewnętrzne derywacje mogą być w niezgodzie z sobą, mogą zwalczać się i przeciwstawiać sobie, stanowiąc mimo to emanację tego samego głębokiego prądu. Tak więc faszyzm i komunizm mogą zwalczać się aż do zupełnego wzajemnego wytracenia, a mimo to być projekcją tych samych sił podziemnych. I jak długo nie uchwyci się zjawiska w tej głębokości, gdzie stwierdzić można przynależność jego do tego czy innego nurtu, tak długo jesteśmy właściwie igraszka złud i pozorów: bo przejawy, które wyrastają z jednego pnia, wydają się jakby przynależne do dwóch odrębnych zupełnie światów, gdy natomiast nie przeczuwamy nawet, iż rzeczy pozornie bardzo sobie bliskie, są tworam odmiennych i przeciwnych sobie nurtów. Naprzykład religijność jakiegoś Plutarcha mogła się współczesnym wydawać czymś bardzo bliskim któremuś z ówczesnych głosicieli ewangelii, gdy w rzeczywistości były to derywacje dwóch wrogich sobie nurtów.

Gdy się podejździe do spraw poezji polskiej w pierwszej połowie międzywojennego dwudziestolecia od strony paretońskiego „nurtu”, obraz licznych „szkół” i kierunków tego okresu, zaczyna układać się w jednolity wzorzec, mimo bowiem wszystkie różnice pomiędzy „Skamandrem” a „Zwrotnicą”, między wszelkich odłamów (a było ich kilka) futurystami a czartakowym bogochwalstwem, między formizmem typu autora „Pastorałek” a twórczością poetów społecznych, mimo wszystkie te rozbieżności artystyczne i ideowe, wszystko to jest emanacją jednego i tego samego prądu podziemnego. Są to odrośla, pędy i odgałęzienia tego samego wspólnego pnia, manifestacje tej samej utajonej rzeczywistości.

Dnem tych wszystkich zjawisk był ten sam nurt, który określić by można jako przenikający podziemia całej polskiej natury, nurt swobody, a za którego sprawą powstały u nas wszystkie zdarzenia kulturalne na przestrzeni z górą wieku. Poprzez niedosyt wynosił on ongiś na powierzchnię życia, wielkie czyny polskich formacji romantycznych, a teraz, gdy wypadki dziejowe postawiły społeczność polską w obliczu niepodległości, nie mógł przecież nagle zniknąć jak mara i zapasć się w niebyt, lecz działał dalej choć kierunek tego działania się zmienił. Zakończył się przecież, zdawać się mogło ostatecznie ów proces, jaki kiedyś w bazylikańskiej celi wytoczono Bogu, wygrana została sprawa polska przed niebieskim trybunałem, „i ja już niepotrzebny”, wyszedł buntowniczy Lucyfer, jak w ostatniej scenie kosmicznego Zborowskiego. Teraz ów nurt swobodny, którego bieg wyznaczył kierunek wszystkich busol polskich, objawiał się musiał wielkim aktem pojednania z realnością i światem, który dotychczas odrzucano lub widziano tylko w tęsknocie. „Nie

chcę nic, nic — nic, nikogo”... mówi heros „Wyzwolenia”, „żadnych idei... żadnych ludzi... Chcę, żeby w letni dzień, w upalny, letni dzień”... Znamy tą pieśń. Zaratustra zwał ją „pieśnią na tak i amen”, Norwid nazwałby ją może pieśnią „zwolenia”, poddania się bożemu planowaniu świata. Ta pieśń jest i musiała być pieśnią pokolenia witającego swobodę.

Po raz pierwszy od wieku dane było temu pokoleniu polskich poetów, spojrzeć na świat bezgrzesznymi oczyma dziecka, co w wiosnie tylko wiosnę zobaczyć chciały, cóż więc dziwnego, że ołśniły ich te dotychczas zakazane krainy, że na rzeczywistość patrzyli wzrokiem ludzi wyprowadzonych nagle z ciemnicy? Po raz pierwszy dane było poecie dotknąć ciała ziemi ręką pożądanego mężczyzny, bo świat ten pokochali, mówiąc słowami angielskiego poety, „nie jak zwierciadło odbijające mnie samego, ale jak kobietę, jak coś zgoła odmiennego”. „Naiwny realizm” rzecby można, był ich filozofią, naiwny, gdyż dziecięcy, gdyż tyskotliwa i świecąca powierzchnia rzeczy, stała się dla nich prawdziwie i istotnie mistycznym wymiarem rzeczywistości, z niej bowiem odczytywali wszystkie tajemnice istnienia. Dlatego żądza doznania świata była dla nich jedyną wielką żądzą, i dla niej to wyruszyli na dalekie kolumbowe podróże po to tylko, by stwierdzić, jak nieprzebrane bogactwa ukryte są w każdym okrucieństwie rzeczywistości. Byli wreszcie wolnymi łowcami cudów, którzy nie potrzebowali się już czemuś sprzeniewierzać i jak Conrad uciekać do Anglii, by móc poić oczy i serca nieprzebraną barwnością i różnorodnością spraw ziemi. Nie! To ten sam nurt utajony, który dotychczas nakazywał poetom świętą wstrzeźliwość, wyprowadził ich teraz naprzeciw świata, pchnął ich na oceany i rzucił w objęcia tysiącznych przygód, bo przygoda była żywołem i była orężem tych ekstatycznych obieżyświatów, pasowała ich zarówno na poetów, jak i na mężów. I w głębokiej zgodzie z podziemnym sumieniem ziemi było to nawet, że wszystkie związki i obowiązkowe historyczne i niehistoryczne zrzucali z siebie jak „Dejaniry palącą koszulę”, kto bowiem żyje przygodą i „nic nad dzień dzisiejszy” ma wypisaną na swym sztandarze, ten kładzie zręby nowych dziejów i nowej ojczyzny, trając wszystkie zbędne wieczności, które czymżeż są jeśli nie „chwilka tylko” rozżarzonej w ekstazie doczesności?

Na pokładach tych kolumbowych galer nie było miejsca na Hamleta, na ekspresjonistyczne czy inne tam dywagacje. Wielka pochwała cudu istnienia, wielkie whitmanowskie Salut au monde, było jedyną godną tego zachwytu pieśnią, a klasycyzm, nieznający rozdzielenia pomiędzy marzeniem a rzeczywistością, to był jedyny właściwy strój konkwestadorskiej łutni. I podczas gdy Europa cała wita się od powojennych drgawek i bólów, gdy nawet w zwycięskiej i niezniszczonej Anglii znurzenie wiało z katastroficznych wierszy, w Polsce, jak to nakazywała podziemna racja, budowano krzepkie zręby ekstatycznego klasycyzmu, klasycyzmu, rzekłby ktoś, rajskiego, gdyż jak w raj przyprowadzał Pan przed poetów stwór wszelaki a oni nadawali mu imiona, przyczym brać poetycka walczyła o określające świat słowo z taką samą zacietością, co o doznania świata samego. Bo słowo musiało być śmigłe i niezawodne, by dać świadectwo temu światu, będącego matką cudów, by

w całej doskonałości objawić tą poezję boskiego refleksu, onych nierozumnych lśnień, przychwytywanych na tajemniczej powierzchni rzeczy, zrywających się nagle jak motyle i ulatujących niewiadomo gdzie w swej boskiej samowystarczalności i bezcelowości. Tęgo wymagała zresztą misja poety „sprzedawcy słów” podsluchanych zdawałoby się u „obecności”, który teraz rozbił swój kram na wielkim targowisku życia, by dostarczać swym odbiorcom złudy wieczności. Złudy, gdyż nawet i świat cudów zapada się raz po raz w nicosć przemijania, a ukazać go w wymiarach prawdziwej czy kłamliwej wieczności, to właśnie, jak już powiedziano, uczynić go chwilą. Chwila bo jest wiecznością tej poezji ekstazy bierności, jaką mimozdobycze gesty były rapsody tych dni.

O chwilę — czy też patetyczniej się wyrażając — o wieczność potknęła się też poezja ekstazy doczesności. Świadomie przyjęła ona granice ziemi za granice istnienia, a i w tym obrębie nie uznawała żadnego innego porządku prócz porządku genialnego beztładu i bezwyboru. Mścić się na niej zaczęło oderwanie się od sumienia historii, które sumuje nie tylko żywoty ale i śmierci, śmierć bowiem w jej rachubach była pozycją pustą. Chwilę żyjąc, tam już nie sięgała. Dlatego odkrywszy ziemię, porzuciła ją ona w błędnym kole bezcelowego przemijania, nowemu pokoleniu pozostawiając odkrycie tego, co mianować zwykliśmy obecnością nieba, odkrycie i przyjęcie ładu, obowiązującego po tej i tamtej stronie życia. A że poezja tylko kształtem słownym objawić może obecność tego ładu, przeto szukać zaczęła takiego słowa, w którym zawrzeć by się dało niebo, i które zdolne byłoby dać świadectwo nietylko ziemi, ale i obecności wyższego niż ziemski porządku. Bo świat i ziemi to nowe pokolenie bynajmniej się nie zapierało i miłość do niej chętnie przyjęło w spadku po poprzednikach, kierując busole swych doznań nadal wedle podziemnego nurtu, przebiegającego w głębinach. Chodziło przecież o odkupienie tego, co zostało stworzone, aby w jałowej bujności nie zaprzepaściło się raz już dokonane. Dziejowe sumienie odżyło, a z nim razem odżyło sumienie prawa, świadomość złego i dobrego, rzeczy można, grzechu pierwotnego, tak mało znaczących dla zdobycy samowoli uprzedniej generacji poetyckiej.

Paul Claudel opowiada gdzieś, że gdy pewnego razu, czasu swej młodości, przechodząc ulicami Paryża kupił przypadkowo zeszyt czasopisma, w którym po raz pierwszy wydrukowano „Illuminacje” Rimbauda, zaczawszy czytać je, doznał olśnienia, jak gdyby ze stronicy pisma wyjrzało nań nadzmysłowe. Na te właśnie drogi poszukiwania słowa, objawiającego nietylko ziemski kształt rzeczy, ale przedewszystkim ich profil nadprzyrodzony, weszło teraz nowe pokolenie poetów i choć postronnym widzom zdawać się mogło, iż usiłują się oni przebić tylko przez gąszcz własnej wyobraźni, lub że chodzi im conajwyżej o poszukiwanie nowych imion świata, tak geraco uprawiane przed tem przez poetów np. z pod znaku „Zwrotnicy”, to walka ta o nowe słowo była jednak czymś więcej: była walką o nową treść, o świat powiększony o niebo, wypowiadający się słowem, w którym nadzmysłowe przenikało wszystkie drobiny jak łyżka wina przenika całą do dna szklankę wody. Bo cóż po najwspanialszym ze światów „gdy niesmarowa-

ny niebem”, jak pisał poeta „Dnia jak codzien”, dnia pomnożonego o mistyczne drżenie nocy, która już nie śpiwemu zdobywców żąda, ale nadewszystko — modlitwy. Tylko bowiem słowo modlitwy, słowo naznaczone znamieniem nadprzyrodzonego, nierozumne a najrozumniesze, może wskresić w nas nie „obraz i podobieństwo” świata, ale widzenie go jakoby w bożych jego wymiarach. I dlatego nowe to słowo ciche jest i wstrzemięźliwe, choć bynajmniej nie prostackie, aby bowiem ukazać widzenie odkupionej ziemi, musi być samo widzeniem i posługiwać się logiką nietylko trzech wymiarów powszedniego istnienia. Wyobraźnia staje się dla tej poezji ścieżką wiodącą w nadzmysłowe doznanie świata i dlatego czechowiczowska „fantazjotwórczość” nie była wcale rezygnacją z konkretności, ucieczką w nieistniejące niebo, ale świadectwem upartego wysiłku, by niebo sprowadzić na ziemię, z nią je na zawsze zespolić i tak ukazać ją w wymiarach wieczności, jak poprzednie pokolenie usiłowało wieczność ukazać w wymiarach doczesnej chwili.

Zdobyc takie słowo, objawić niem przedmiotów w ich nadprzyrodzonej rozciągłości, to dopiero dla świata w całej jego rzeczywistości, to dopiero realizm prawdziwy. Kto ku takim dąży celom, ten za nic może mieć krzyk surm bojowych, towarzyszący zdobywaniu ziemi przez pokolenie poetyckich konkwistadorów, co jak jastrzębie rzucali się na bierny w swej cudowności świat. Ci poszukiwacze nadprzyrodzonego słowa nie uwierzyli w bierność świata, który wystarczy przemierzyć krokiem zwycięscy, aby istniał czy też był u ich stóp. Nie był on dla nich czymś „zastanym”, jak to mawiał Brzozowski, ale czymś, co dopiero z chaosu zdarzeń gwiazdą niebieską urodzić się musi, czymś, co jest materialem ludzkiej aktywności, i dlatego bardziej niż buńczucznego gestu samowoli wymaga pokory i uchylenia czoła przed niepojętym i nieobjętym, jako że ten, kto świat kształtuje — a kształtuje go się zawsze naprzekór powabom triumfu, jak i naprzekór bierności i przeznaczeniu — jest tylko „wyrobkiem w winnicy Pańskiej”, norwidowym kołodziejem, zmierzającym dopiero ku Górze Przemienienia. Wsząc nieustannie jak ów gończy Fr. Thompsona, obecność niebiańskiego celu ziemi i w niebo nad nią rozpięte żeglując, nie dali też temu wiary, by niby niezerwane jabłko z nad obłoków spadło im w nieupracowane ręce ostateczne spełnienie, co jest wiarą wszystkich konkwistadorów. Kto pracuje w winnicy Pańskiej ten wie, że jest czas siejby i czas żniwobrania, i że powoli i w trudzie organicznego narastania rodzą się przemienione światy aż nastanie wkońcu chwila, gdy ze śpiewakiem Promethidiona rzecz można: „i prawo poczułem na ziemi”. I choćby ten sam tylko kreatorski stosunek do spraw, którego narzędziem jest kreatorska wizyjność słowa, czyni ich jakby nową falą romantyzmu, wskrzeszając postawę „zaśpiewu” na nową rzeczywistość i nową Polskę, która jak gałąź bladego kwiecia leży dopiero w promieniu wyciągniętych naszych rąk, a nie jest za nami ni pod nami, jak się to jeszcze wczoraj polskim zdobywcom świata wydawać mogło.

Nie zastygł jeszcze w podziemiach nurt, za którego sprawą tyle pokoleń Polaków przeszło przez bramy dantejskich piekieł abyśmy teraz — jeśli to, co przeżywamy, za zwycięzcami uznane będzie — zapukać mogli do bram raj, który nig-

dy nie był sielanką a być musi nowym Kościołem. Już najniedwuznaczniej wyraziło się to w tomiku Czechowicza, który umieściliśmy u drugiego końca międzywojennego czasu. Z „najzieleniejszego z zielonych”, jak mówił Stanisław Rogowski, z wiotkich snów i boleściwych skurczów serca, z docho-
dzeń świata po chybotliwych prorozeniach wizji wypływa się tu już świadoma i niezachwiana wola przyjęcia przez poezję polską tej odpowiedzialności, jaka na niej od przedromantycznego pokole-
nia, a może nawet od „Odprawy posłów greckich”, ciążyła. Bo „nieskończona jeszcze dziejów praca, nieprzepalony jeszcze glob sumieniem”. A tak nie-
dawno wydawało się poniekąd, że skończyły się czasy, jakgdybyśmy nie wiedzieli, że końcem ich

może być tylko akt Sądu Ostatecznego, a kres i szczyt bytowania człowieczego leży każdej chwili naszego życia nie przed nami, lecz nad nami. Wiecznie więc od nowa zaczynają się czasy, bo życie na tej ziemi wiecznym jest początkiem. I ra-
zem z nami wiecznie na nowo poczyna się Polska, ojczyzna miła, którą oczy widzącego ją poprzez zgon własny w takim ziemskim a niezemskim dojr-
zały kształcie: „na piramidalnych słupach świat-
łości, w chmurze zapachów, unosi się pole, zwykle polskie pole. Trochę kłosów, trochę okrytych kur-
rzem bylic. Koniczynę widzę”. I nic więcej. Tylko że to pole i te kłosa i miotły tych bylic z tego samego są co niebo materiału.

Felicja Kruszevska

marła na skutek przeżyć
wojennych w roku 1943.

NA ŚMIERĆ FLOTY WOJENNEJ W TULONIE

Runął sen czarny i ciężki na Elizejskie Pola,
Zgrzytnęła z jękiem we śnie na ziemię rzucona broń.
Czad śmierci chwyta nozdrzami koń na kamiennym cokole
I tylko drgnęła Joanny chorągiew dzierząca dłoń.

Jesień rozwłócza nad miastem rdzą nakrapiane makaty,
Płoną rumieńcem wstydu zarówno marmur i spíž,
Nie Samotracka Nike — to Nike Samozatrąty
W sercu Paryża, w Luwrze, skrzydła układa w krzyż,

Noc Inwalidów Kopułę czarnym dotknięciem plami,
Pod Łukiem Triumfalnym krok kłęski stalowo grzmi.
Złoto i błoto płynie, pod słonecznymi wzgórzami
W winnicach szkarłatne wino ma posmak zateęchłej krwi.

We Francji, we Francji całości, Wolności—o mocny Boże!
Zbrakło już ziemi pod stopą, zbrakło powietrza dla płuc;
Więc zbiegła na krawędź lądu, kędy swobodne morze
Przychodzi w gniewie falami o brzegi shańbione tłuc.

Tu można zgonem, jak szpada, skruszyć zły sen, przeklęty.
Na wolnym, szerokim wietrze sztandary się palą i rwą...
Wróg już nie sięgnie dalej, niech spłoną ludzie, okręty,
Po honor, jak po klejnot, pójdzie się w morze, na dno.

Usłysz, ojczyzno śpiąca, strzał piorunowy w Tulonie,
„Aux armes, citoyens!” Śmierć zedrze ten okrzyk z warg.
I runął ogień w wodę i blaskiem wspaniałym płonie,
Żywym, zwycięskim stosem, stosem Joanny d'Arc.

POECI NA OBCZYŻNIE

Władysław Broniewski.

ZADYMKA

Może to z Kraju, od Wisły, od Tatr,
Ten mroźny podmuch tęsknoty,
Gdy śniegiem pruszy orenburski wiatr
Nocą na polskie namioty

Zadymka w polu. Próżno szuka wzrok
Drogi w pośrodku kurzawy:
Widma ku niemu suną poprzez mrok,
Cieniem zburzonej Warszawy

Błyska przez chmury Zygmuntowy miecz,
Niebo nad Polską rozgarnia,
W śnieżnej zawiei Pospolita Rzecz,
I droga do Niej, i Armja.

O jakże smutno przez ten ciemny świat
Iść cmentarzyskiem idej.
Wiatr dmie mi w oczy. Orenburski wiatr.
Szedłem. Iść będę. Idę.

Aleksander Wat.

WIERZBY W ALMA - ACIE

Zaginionej rodzinie.

Wierzby są wszędzie wierzbyami...
Pięknaś, w szronie i blasku wierzbo almatyńska,
Lecz jeśli cię zapomnę, o sucha wierzbo z ulicy Rozbrat,
Niech uschnie moja ręką!

Góry są wszędzie górami...
Tian-Szań przede mną żegluję w fioletach —
Pianka ze światła, gład z barw, blaknie i niknie —
Lecz jeśli cię zapomnę, daleki szczytę tatrzański,
Potoku biały, gdzie z synem barwne roitem żeglugi,
Żegnani cichym uśmiechem naszej dobrej patronki —
Niech się w kamień tian-szański obróć!

Jeśli was zapomnę...
Jeśli Cię zapomnę, miasto me rodzinne...
Nocy warszawska, deszczu i burzo warszawska, gdzie
„w bramie dziad wyciąga rękę,
pies rozerwał mu sukienkę”...

Śpij Jędrusiu...
Rozrucam ręce żałośnie, jak polska płacząca wierzba,

Jeśli was zapomnę,
Lampy gazowe Żurawiej — stacje mej męki miłosnej —
Świetliste serca wtulone w ciemną wstydlivość liści,
I szept, i szmer, i deszcz, w alei turkot dorożki
I złotopióry świt gołębi...

Jeśli Cię zapomnę; walcząca Warszawo,
W krwi spieniona Warszawo, piękna dumą swych mogił...

Jeśli Cię zapomnę...
Jeśli was zapomnę...

Alma - A ta, w styczniu 1942.

Maria Pawlikowska.

W I E R S Z E

W PAJĘCZYNIĘ

Gdzie się mglista kończy pajęczyna?
Gdzie się biel jej przerzedzać poczyna?
— W górze pajak — gwiazda czarna,
Gwiazda chciwa,
Tysiączeni spogląda oczyma.

MUCHA

W białej sieci pajęczych wykresów,
Gdzie co kroku — mdła przed tobą tarcza,
W odpornej pustce,
Tam śpiew muchy, gniew muchy zawarczał:
„Dobijcie mnie lub wypuście!”

OBCA DUSZO...

Duszo z miękkich pajęczyn utkana,
Nie mów do mnie. Nie motaj nicości,
Nie rozdmuchuj kurzu. Odejdź, przebacz.
Jestem raną. A na taką ranę,
Nie pajęczyn z chlebem, nie litości,
Ale słońca z rodzinnego nieba...

I ANI LILJI WODNEJ

Ani jednego drutu między nami,
Z tych co ślą wieści ku dalekiej stronie!
Ani nawet pajęczej nici! —
I ani lilji wodnej, aby się uchwycić,
W mrocznym jeziorze nieba, w którym
Szczęście tonie...

POCIECHY

Orkiestra — arją miłosną z „Toski”,
Słońce — uśmiechem pełnym beztroski,
I niebo — miękkim wiatrem eolskim
Ważą się serce pocieszać polskie...

BUNT MŁODZIEŻY

Przedruk z londyńskich „Wiadomości Polskich“.

1.

Mądry sędzia amerykański Lindsey napisał przed piętnastu z górą laty książkę, która wywołała nielada burzę w Stanach Zjednoczonych i miała duży rozgłos w Europie. Książka ta zwała się „Bunt Młodzieży” i mówiła szczerze o kłopotach miłosnych młodzieży amerykańskiej.

Kłopoty pokolenia powojennego i tych młodych na całym świecie, których los ustawił na przelomie pomiędzy dwiema wojnami, nie ograniczały się do spraw erotycznych. Trudności, z jakimi walczyło młode pokolenie w państwach Europy, były rozliczne: bunt młodzieży nie ograniczały się do dziedziny miłości (okazało się, że ten bunt nie jest najgroźniejszy i nie zagrazi łaadowi globu); ambicje, jakie rozsadały młodych, były istotnie wielkie, ale niestety, niezrozumiałe dla wielu przywódców i polityków europejskich. Kiedyś jakiś sprawiedliwy historyk napisze może, wzorem sędziego Lindseya, książkę o buncie młodzieży w dobie między dwiema wojnami, o buncie tragicznym. Lecz zanim powstanie taka książka, można już dzisiaj zapytać co się stało z młodzieżą Europy w latach 1919—1939 i jak pokierować jej losami, żeby z jednej strony niezdziczała w totalnym rozpasaniu a z drugiej nie zgzuśniała w tych wąskich łożyskach, jakie wyznaczył jej porządek politycznej Europy, niechętny dla nowych prądów, nowych haseł i „nowej warty”, trzymającej się kurczowo przebrzmiałych kanońców,

2.

Jednym z podstawowych błędów, popełnionych przez polityków doby powersalskiej, było niedoceniecie ogromnych przemian, jakie dokonały się pod wpływem wstrząsu pierwszej wojny światowej. Rozważano sprawy odszkodowań, inflacji, kryzysów gospodarczych, badano zagadnienia polityczne w oderwaniu od podłoża społecznego i moralnego. Nie chciano zrozumieć, że wiele wartości runęło w gruzy. Nie rozumiano, że młode pokolenie wyrasta w aurze zupełnie osobiwej. Nie rozumiano, że młodzież odnosi się niechętnie do wielu zjawisk kultury i że w powrocie do pierwotności widzi nieraz warunek przetrwania. Nie uświadomiono sobie na czas, że runięcie przesła religijnych wytwarza próżnię, którą jednak trzeba będzie czemś zapełnić. Nie trudno się było domyślić, że skoro żyjemy w dobie wielkich ruchów masowych i skoro wkraczamy w „saeculum politicum”, w którym zainteresowania polityczne panują coraz bardziej nad wyobraźnią społeczeństw — wiary polityczne wysuną się na czoło i będą szukały poparcia przedewszystkiem tych, co mają wszystko do dania, wszystko do zaryzykowania, wszystko do zyskania: młodzieży.

3.

Rosja Sewiecka pierwsza rozpoczęła eksperyment z młodzieżą. Kraj ten, przez swoje odosobnie-

nie i możność hermetycznego zamknięcia się od świata nadawał się idealnie do doświadczeń wszelakiego typu. Sowiety zrozumiały, że ruch polityczny musi sobie zapewnić młodzież, inaczej nie ma szans przetrwania. Komunizm apelował do młodzieży jako do naturalnego sprzymierzeńca wszelkiej ruchawki i rewolucji, niepokoju i buntu, jako ośrodka popędów irracjonalnych, entuzjazmu, zapалу nieraz bezkierunkowego, potrzeby wiary. Rosja sowiecka postawiła pierwsza na młodzież, będąc krajem populacyjnie młodym, i — wygrała.

Włochy faszystowskie zagrały również na hasła młodzieży. Mussolini pojął, że żywioty młode najłatwiej będzie zaciągnąć do awantury imperialnej, że można w nich obudzić drzemające wspomnienia sławy Romy, że można je ulepić według własnej woli. Faszizm bez młodzieży nie przetrwał by nawet pięciu lat.

Podobnie hitleryzm zrozumiał, że młodzież może być tym taranem, który rozbije dawny ład, sprzeciwi się chrześcijaństwu, dokona zamachu na kulturę. Z początku Hitler gra jeszcze na pokolenie średnie, grupujące się w formacjach SA, czepie swoje zasoby ludzkie z mieszczaństwa starszych roczników, ale w parę lat potem stawia na HJ i ma SS.

Hitleryzm jest najbardziej radykalną i dokładną próbą wyszkania młodzieży dla celów rozkładu dawnego porządku, dla zaprzeczenia podstawom kultury europejskiej i chrześcijańskiej. Ruch ten poszedł na rozwiązanie totalne: uznał, że trzeba rozbudzić i pielęgnować w młodzieży wrodzone jej niewątpliwie instynkty okrucieństwa, że można rozpalic jej ambicję niejako do białości, że można natężyć jej wiarę do zaślepienia, że można uczynić z młodego pokolenia istnych janczarów, jeżeli przytem da się mu Mahometa.

Hitleryzm oferował młodzieży niemieckiej dziekie wyżycie się jej pasji, dał jej do ręki ulubione zabawki młodości: broń, dał jej miraż władzy, panowania i rządzenia—otworzył wszystkie upusty i śluz, zamknął oczy na niebezpieczeństwa takiego całkowitego otwarcia owych śluz, poszedł na politykę rabunkowych sił fizycznych i moralnych młodzieży, uważając, że zadaniem jej jest dokonać podobojów szybko, brutalnie, bezlitośnie, i że dlatego młodzież ta musi być okrutna, bezwzględna, nieludzka.

4.

Dokonania Hitlera byłyby niemożliwością bez popercia młodzieży. Armia niemiecka została od-młodzona „in capite et in membris”, lotnictwo niemieckie stało się najliczniejszym lotnictwem świata, młodzież zalała służbę dyplomatyczną, młodzi Niemcy krzątały się po całej Europie.

Kłeska hitleryzmu polega na tym, że dzisiaj ta młodzież, ten pierwszy niejako rzut przyszłych Niemiec, ginie na polach Rosji. Jeśli ten proces

wytracania młodzieży niemieckiej na froncie wschodnim pójdzie dalej, zabraknie tych, którzy mieli tworzyć warstwę rządzącą. Zabraknie owych władców, kształconych w „Ordensburgach”, pogan, którzy mieli trzymać w swoich dłoniach losy świata. Wojna oszczędzi warstwy średnie, mieszczańskie SA; nie przetrzebi tych wahających się, niepewnych, letnich i bez zapału. Janczarom grozi śmierć.

5.

Każdy kto obserwował organizację HJ czy SS, pojął szybko, że organizacje te włączyły do swojego programu wiele rzeczy wynalezionych dawno przez państwa Zachodu, że przejęły myśli, które ugruntowały się na Zachodzie — tylko że wszystko to przepuszczone zostało przez pryzmat umysłowości niemieckiej i krzyżackiej i poddane osobliwej germańskiej komendzie.

Ileż rzeczy wzięto ze skautingu, który był wynalazkiem brytyjskim (niestety, w dobie po wojnie światowej skauting nie odegrał tej roli, do jakiej zdawał się być powołany, i przegrał do ruchów totalnych), ile pomysłów „Ordensburgów” było wypaczeniem zasad wychowania angielskiego, kolegów Oxfordu czy Cambridge, ujętych po prusku!

Dla uczciwego obserwatora tych niepokojących prób było jasne, że hitleryzm trafił istotnie złotą żyłę, że pojął, jakie zasoby zapału i hartu tkwią w młodzieży, że zrozumiał, czego można dokonać wychowaniem, że ocenił, jakie energie można wyzwoić. I patrząc, jak owe siły i energie zaprzęgnię są do dzieła groźnego dla kultury, do dzieła zniszczenia i okrucieństwa, każdy poważny obserwator pytał, dlaczego w krajach zachodu młodzież jest niechana. Pytał, dlaczego nie potrafiono hasłem totalnym, tak bardzo przemawiającym do umysłu młodzieży swoją barwnością, teatralnością i bezwzględnością, przeciwstawić jeszcze mocniejszych haseł, ideałów i wiar? Dlaczego politycy Zachodu ograniczali się do żalosnej i niegodnej roli gadułów, graczy i ostrożnisiów, dlaczego ich deklamacja o demokracji była pusta i dlaczego nie mieli poparcia młodych?

6.

Pamiętam rozmowy z młodymi Francuzami i Anglikami przed wojną. Młodzi Francuzi, którzy wyklinali na czem świat stoi politykierów, przekupnych posłów, nędzne widowisko partyjnictwa bez kierunku i celu, opowiadali, że młodzi ludzie we Francji nie mają szans, że nie chce się ich ani w kraju ani w koloniach, że lotnictwo nie istnieje a armia zaskorupiała. Młodzież ta chciała jakiejś wiary, ale nie znajdowała jej na targowisku polityki bieżącej, oczekiwała dowódcy, ale rozczarowywała się kolejno do szarlatanów. Dbały o nią tylko prądy skrajne i demagogiczne,

Podobne nastroje spotykało się w Anglii przedwojennej. Ileż to razy słyszało się z ust młodych ludzi słowa niechęci dla imperium, obojętności na losy wszystkiego, sobkostwa w stosunku do świata.

Młodzież francuska nie odnalazła siebie w czasie wojny. Może odnajdzie siebie teraz, w dobie niedoli i ucisku. Młodzież angielska okazała

się nieskończenie zdrowsza i prężniejsza. Chociaż niekierowana i zapomniana, stała mocno na nogach i poczęła się otrząsać z mrzonek, jakimi karmili ją rozmaici fałszywi idealisci zpod znaku wygody i lenistwa, pacyfisci dbający o spokojny zarobek i „business as usual”, intelektualisci, którzy żyli w typowym „fool's paradise”. Młodzież angielska odnalazła swoją drogę. Dowiodła tego czynem.

Bo nie zapominajmy, że losy Battle of Britain, a więc bitwy, która rozstrzygnęła o istnieniu Imperium, spoczywały na barkach młodzieży. Ta właśnie młodzież, o której nie myślano, której nie wychowano, a na której odbiło się zbrodnictwo lekomyślnie „neglect of Empire”, jak to określił kapitalnie jeden z polityków brytyjskich — ta właśnie młodzież uratowała Imperium, i nie tylko „nigdy jeszcze tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak nielicznej garstce”, ale również i „nigdy jeszcze tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak młodej garstce”.

7.

Nie jest dziełem przypadku, że właśnie z kraju, który coraz bardziej przejmując kierownictwo spraw wojny i pokoju, że właśnie ze Stanów Zjednoczonych odezwał się niedawno głos, który warto tu zanotować. Prezydent Roosevelt, zwracając się do kongresu studentów narodów sprzymierzonych, powiedział słowa, na które dawno czekaliśmy. Powiedział, że młodzież, która składa haracz krwi, ma prawo do urzędzania nowego świata. Że do ulepienia nowej bryły świata trzeba będzie zapału, wiary, woli, wizji. Nowy świat nie będzie łatwy, przeciwnie, narodziny jego będą trudem, a ukształtowanie jego będzie jeszcze może większym wysiłkiem. Roosevelt nie obiecywał raj, szczęśliwego życia, nie mówił też wzniosłych słów o demokracji, o mglistych ideałach. Wskazał wielki cel, ale przestrzegał przed trudnościami, jakie czekają na drodze.

Roosevelt okazał się raz jeszcze wielkim przywódcą. Albowiem młodzieży nie trzeba obiecywać zadań łatwych, nie trzeba jej ukazywać różowych mirażów. Nie trzeba także oklepanych frazesów. Trzeba powiedzieć jej, że zadania są ciężkie i że trzeba się do nich przygotować. Trzeba apelować do siły, do wytrwania, trzeba żądać wiary i tę wiarę dawać. Demokracja, jeżeli ma przetrwać — a przetrwa ona tylko wtedy, jeżeli przebuduje się w myśl nowych postulatów — musi wciągnąć młodzież.

8.

Wierzmy, że przyszłość należy do młodzieży, właśnie dlatego, ponieważ nowy świat będzie światem bardzo trudnym — światem tylko dla odważnych. Wierzmy, że młodzież wielu krajów świata może znaleźć wspólny język — jeżeli odetnie się od tego wszystkiego co ją zatrzuwa, od tych wszystkich prądów starszego pokolenia politycznego, które są zgubne, bo krążą tylko w kole osobistych zadrążeń, nienawiści i wypominków.

Europa powojenna stać będzie przed kapitałem zagadnieniem wychowania młodzieży: stworzenia prawdziwych „zakonów”, gdzie kształcić się

będzie Europejczyków. Tego rodzaju praca musi mieć charakter masowy, musi być planowa i kierowana. Europa powojenna, która ogranicza się do zagadnień strategii i polityki, ekonomii i gospodarki, przegra z punktu. Musi ona rozwiązać przedewszystkim zagadnienia wychowania młodzieży, wykształcenia kierowników, musi poświęcić uwagę najpilniejszą sprawie stworzenia atmosfery moralnej, odbudowy wskazań religii.

Tylko taka Europa ma przyszłość. Jeżeli pójdzie ona na małe rozgrywki, jeżeli utonie w kłopotach dnia polityki i gospodarki, jej dni są policzone. Rozsądzą ją siły niszczące, przejdą po niej anarchie. Energia młodzieży musi być ujęta, — jak to słusznie powiedział H. G. Wells w swojej książ-

ce „The Fate of Homo Sapiens” — inaczej stanie się ona dynamitem, który zburzy wszystko.

Obóz narodów zjednoczonych musi zrozumieć te znaki na niebie przyszłości. Już teraz narody sojusznicze powinny kształcić swoją młodzież w ramach możliwości, już teraz uczyć ją używania władzy.

Jeżeli ta wielka szansa zostanie zmarnowana, młodzież Europy albo pójdzie na służbę anarchii albo tęsknić będzie do nauk totalizmu. Nie wystarczy rzucać gromów na wrogów, oskarżać ich o wycisk żywych sił: te żywe siły dane są wszystkim — trzeba je umieć organizować. Można je organizować dla dzieła zniszczenia, można je organizować dla dzieła budowania. Ale trzeba je ująć, trzeba je uznać. Bo siły nieużyte mszczą się.

Ryszard Kipling.

CZŁOWIEK, KTÓRY BYŁ

Nowela ta starczy za całą bibliotekę o Rosji, takiej jaką była i takiej jaką jest. Choć opowiadanie to napisane zostało około roku 1900, znajdziesz w nim, czytelniku, wszystko, co stanowi najistotniejszą treść każdej Rosji, zarówno białej, jak i czerwonej: i mongolskie sny o potęgę, i megalomańską światoburczość, i puste „otchłanie” duszy rosyjskiej, i czerezwyczajkę, i Katyń, — nadewszystko Katyń! Na dodatek próbkę prawdziwego stosunku Anglii i Anglików do Rosji. Weź i czytaj!

Wydała ziemia zmarłego
Zajrzał w nasz namiot trup,
Rzekł swoje — a serca nasze
Ogarnął ognia słup.

Na strzelby zakarbuj to kolbie,
Niech zagrzmie zemsty głos,
Gdy wreszcie Bóg zbadać zechce
Kolegi straszny los.

Powiedzmy jasno, że Rosjanin jest zachwycającym człowiekiem, jak długo tkwi we własnej skórze. Jako człowiek wschodni jest czarujący. Dopiero kiedy zaczyna się domagać, aby go traktowano jako najbardziej wschodni z zachodnich narodów, a nie najbardziej zachodni ze wschodnich, staje się anomalią rasową, z którą nadzwyczaj trudno należycie się obchodzić. Gospodarz nigdy nie wie, którą stroną swej natury on się doń w najbliższym momencie obróci.

Dirkowicz był Rosjaninem — Rosjaninem z krwi i kości, który zarabiał na chleb służąc niby carowi w jakimś kozackim pułku i pisując korespondencje do jednego z dzienników rosyjskich, którego nazwa nigdy nie brzmiała dwa razy tak samo. Był to przystojny młody człowiek, namiętnie lubiący się włóczyć po niezbadanych częściach świata,

a który przyjechał do Indii niewiadomo skąd. Przynajmniej nikt nie mógł stwierdzić na pewno, czy dostał się drogą na Balk, Badakszan, Czitrol, Beludżystan, Nepaul, czy jeszcze inną drogą. Rząd indyjski niezwykle uprzejmie usposobiony, wydał rozporządzenie, aby go traktowano jak najgrzeczniej i aby mu pokazano wszystko, co można było zobaczyć. Tak tedy Dirkowicz bujał sobie, mówiąc źle po angielsku, a jeszcze gorzej po francusku, od miasta do miasta, póki wreszcie nie zetknął się z Białymi Huzarami Jej Królewskiej Mości w mieście Peshawarze, znajdującym się u ujścia tej ciasnej, jakby mieczem wyrabanej szczeliny w górach, znanej ludziom jako przełęcz Khyberska. Był on niewątpliwie oficerem, udekorowanym na rosyjski sposób małymi, emaliowanymi krzyżami, był bardzo rozmowny i (choć to nie ma nic wspólnego

z jego zaletami) został odstąpiony jako zadanie beznadziejne przez pułk Black Tyrone, który na brzo, pojedynczo i zbiorowo, z całą właściwą sobie gościnnością, próbował go upoić przy pomocy gorącej wódki z miodem, słodzonego koniaku i najrozmaitszych mieszanych trunków. A jeśli Black Tyrone, pułk rdzennie irlandzki, nie potrafi do białej gorączki doprowadzić cudzoziemca — to cudzoziemiec ten jest z pewnością człowiekiem niepoślednim.

Biali Huzarzy byli tak rzetelni w doborze swych win, jak w szarżowaniu na nieprzyjaciela. Wszystko, co posiadali, nie wyłączając jakiegos niesłychanego koniaku, oddali do absolutnego rozporządzenia Dirkowicza, który też korzystał z tego szeroko — szerzej nawet, niż oficerowie pułk Black Tyrone.

A mimo to wszystko nie przestawał być beznadziejnym Europejczykiem. Biali Huzarzy byli dla niego „Moi drodzy, prawdziwi przyjaciele”, „Koledzy-żolnierze sławni”, „Bracia nierozłączni”. Co chwila rozwodził się szeroko nad świetną przyszłością, oczekującą połączone armie Anglii i Rosji, kiedy narzeczcie zleją się ich serca i terytoria i rozpocznie się wielka misja cywilizowania Azji. Nie było to przekonywujące, ponieważ Azji nie można cywilizować według metod zachodnich. Azji jest trochę za dużo, a prócz tego jest ona za stara. Nie można przerobić damy, która miała wielu kochanków, zaś Azja od wieków była w swych flirtach nienasycona. Nigdy nie będzie chodziła do szkółki niedzielnej i nie nauczy się głośować — chyba mieczem zamiast kartek wyborczych.

Dirkowicz wiedział o tym tak samo dobrze, jak każdy inny, ale wygodniej mu było mówić tak specjalnie-korespondencyjnie i przedstawiać się w świetle możliwie najlepszym. Od czasu do czasu pozwał sobie na jakąś małą, ale to malutką informacyjkę o swej własnej sotni kozaków, najwidoczniej pozostawionej samej sobie gdzieś na tyłach, po jakiejś drugiej stronie niewiadomo czego. Miał ciężką pracę w Azji Środkowej i widział prawdopodobnie więcej trudów i walki o życie, niż większość ludzi w jego wieku, starannie jednak unikał zdradzania się z tą swą wyższością, a jeszcze staranniej korzystał z każdej sposobności, gdy mógł wychwalać postawę, wyćwiczenie, mundur i organizację Białych Huzarów Jej Królewskiej Mości.

I istotnie, pułk ten mógł wzbudzić podziw. Kiedy Lady Durgan, wdowa po zmarłym sir Johnie Durganie, przybyła do miejsca jego postoju i kiedy po krótkim czasie każdy z oficerów poprosił ją o rękę, bardzo trafnie wyraziła opinię publiczną, tłumacząc, iż wszyscy są tak mili, że o ile nie będzie mogła poślubić wszystkich, nie wyłączając pułkownika i kilku majorów, już żonatych, to na jednym huzarze nie poprzestanie. Wobec tego, mając wrodzoną skłonność do robienia na złość, wyszła zamąż za jakiegoś oficerzynę piechoty i Biali Huzarzy nosili jakiś czas krepę na ramieniu, ale ostatecznie pogodzili się, zjawiwszy się w pełnej liczbie na ślubie, gdzie z niemym wyrzutem ustawili się w szpaler w nawie kościelnej. Wszystkich wprowadziła w pole, począwszy od Basset-Holmera, najstarszego kapitana, a skończywszy na małym Mildredzie, najmłodszym ranga, który mógł jej dać cztery tysiące funtów rocznie i tytuł.

Jeśli kto nie podzielał ogólnego szacunku dla Białych Huzarów, to parę tygodni „gentelmenów” żydowskiego pochodzenia, mieszkających po drugiej stronie granicy, a noszących miano Pałkanów. Swego czasu mieli do czynienia z pułkiem urzędowo i nie dłużej niż jakichś dwadzieścia minut, spotkanie to jednak, połączone z wielu nieszczęśliwymi wypadkami, zrodziło w nich pewne uprzedzenia. Od tego czasu nazywali Białych Huzarów dziećmi szatana i synami osób, których absolutnie nie spotyka się w przyzwoitym towarzystwie. Ta niechęć nie przeszkadzała im jednak w napełnianiu — kosztem Białych Huzarów — pieniędzmi swych trzósów. Pułk posiadał karabiny — piękne Martini-Henry, karabiny — które z odległości tysiąca łokci potrafią wsadzić kulę w sam środek obozu nieprzyjacielskiego, a są nawet poręczniejsze, niż długie karabiny. Dla tych zalet były bardzo poszukiwane wzdłuż całej granicy, a ponieważ popyt niezawodnie rodzi zawsze podaż, dostarczano ich też z narażeniem życia lub poszczególnych członków na wagę bitego srebra, to znaczy siedem i pół funta wagi w rupiach, albo szesnaście funtów szterlingów, licząc rupię al pari. To też kradli je w nocy złodzieje z wężowymi włosami, którzy czołgali się na brzuchach, tuż pod nosem straży; zniknęły w tajemniczy sposób z zamkniętych pomieszczeń, a w porze gorącej, kiedy wszystkie drzwi i okna w koszarach były otwarte, ulatniały się jak dym. Ludzie z pogranicza potrzebowali ich do wendety i załatwiania sporów granicznych. Ale najczęściej kradziono je podczas długich zimowych nocy, zimy północno-indyjskiej. O tej porze roku ruch morderczy w górach był najwyższy, skutkiem czego ceny szły w górę. Straże pułkowe podwajano, gdy potrajano. Żołnierz niewiele robi sobie z tego, gdy zgubi broń — rząd musi to uaprawić — ale ma głęboki żal o pozbawienie go snu. To też pułk wpadł w gniew i jeden złodziej karabinów do dziś dnia nosi na sobie wyraźne tego ślady. Ten wypadek położył włamaniom na pewien czas kres, straż konsekwentnie zmniejszono i pułk oddał się grze w polo z niespodziewanym rezultatem, albowiem pobili o dwa „goale” straszną drużynę „polo” lekkokonných Laszkarów, mimo że ci ostatni młeli na krótką, jednogodzinną grę po cztery kucyki na głowę, a także oficera-krajowca, który śmigał po boisku jak błędny ogień.

Dla uczczenia tego wypadku wydano obiad. Przyszła drużyna Laszkarów i przyszedł także Dirkowicz w pełnym mundurze oficera kozackiego, który istotnie jest tak szeroki, jak szlaffok, i został przedstawiony Laszkarom i aż oczy wytrzeszczał, kiedy się im przyglądał. Byli to ludzie lżejsi od Huzarów, a nosili się z zamaszystością, stanowiącą szczególnie przywilej pendzabskich wojsk granicznych i całej jazdy nieregularnej. Zamaszystości tej, podobnie jak wszystkiego innego w służbie, trzeba się nauczyć, za to — i na tym właśnie polega różnica — kto się jej raz nauczy, ten jej już nigdy nie zapomni, lecz zachowa aż do śmierci.

Wielka, rogami ozdobiona jadalnia kasyna Białych Huzarów przedstawiała widok godny uwagi. Całe srebro pułkowe znajdowało się na długim stole — na tym samym stole, na którym swego czasu po zapomnianej bitwie leżały włókni pięciu oficerów, dawno, dawno już temu — spłowiące, postzelane sztandary wisiały naprzeciw drzwi wcho-

dowych, pękł róż zimowych leżały między srebrnymi kandelabrami, a portrety wybitnych, zmarłych oficerów spoglądały zgóry na swych następców z pomiędzy głów sambhurów, nilghai, markhorów i — duma całego kasyna — dwóch szczerzących zęby leopardów śniegowych, które kosztowały Basset-Holmera cztery miesiące urlopu, jaki mógł spędzić w Anglii, zamiast na drogach do Tybetu w bezustannym niebezpieczeństwie życia nad brzegami przepaści, na porośłych śliską trawą skłonach gór lub wśród wciąż grożących lawin.

Służący w niepokalanie białym muslinie i z kitami pułku na turbanach stali za krzesłami swych panów, przybranych w szkarłat i złoto Białych Huzarów oraz biel i srebro lekkokonných Laszkarów. Jedyną ciemną plamą przy stole był posępny, zielony mundur Dirkowicza, ale wynagradzały to jego wielkie onyksowe oczy. Fraternalizował z zapałem z naczelnikiem drużyny laszkarskiej, który w duchu obliczał, ilu kozaków Dirkowicza w otwartej szarży o równych siłach mogliby sprzątnąć jego smagli, żyłaści współrodacy. Ale o takich rzeczach nie mówi się głośno.

Gwar wzrastał coraz bardziej, w przerwach między poszczególnymi daniami grała stosownie do odwiecznego zwyczaju muzyka pułkowa, póki wszystkie języki nie umilkły w oczekiwaniu pierwszego urzędowego toastu. Wtedy jeden z oficerów, wstając ze swego miejsca rzekł: — „Mr. Vice, Królowa” — zaś mały Mildred z szarego końca odpowiedział: „Królowa, niech ją Bóg błogosławi!” — i długie ostrogi zadzwoniły, gdy ci ogromni mężczyźni podnosili się, aby wypić zdrowie Królowej, niesłusznie podejrzewani o to, że z jej żołdu placą rachunki swych przyjęć pułkowych. Ten sakrament biesiady oficerskiej nigdy się nie starzeje i nigdy nie przestaje chwytać za gardło widza, czy to na morzu, czy na lądzie. Dirkowicz wstał ze swym „sławni bracia”, ale nie mógł się zorientować. Tylko oficer może powiedzieć, co ten toast znaczy, a w rzeczywistości jest w nim więcej sentymentu, niż treści. Bezpośrednio po chwili milczenia, jakie zwykle następuje po tym obrzędzie, wszedł oficer-krajowiec, który grał po stronie Laszkarów. Prawda, w obiedzie udzielał brać nie mógł, przyszedł jednak kiedy podawano deser, przynosząc ze sobą całych sześć stóp swej wysokości, z błękitno-srebrnym turbanem na górze i wysokimi czarnymi butami na dole. Biesiadnicy zerwali się radośnie, gdy na znak hołdu wyciągnął gardę swej szabli tak, aby pułkownik Białych Huzarów mógł jej dotknąć, i osunął się na wolne krzesło wśród okrzyków: „Runğ ho, Hira Singh!” (co przetłumaczone znaczy: „Idź, Hira Singh i zwycięż!”). — „Nie rozbiłem wam kolana, stary”. — „Ressaider Sahib, po diabła wsiedliście w ostatnich dziesięciu minutach na tego kopiającego wieprzaka”. — Szabasz, Ressaider Sahib!

A w tym zabrzmiał głos pułkownika:

— Zdrowie Ressaida Hira Singha!

Kiedy okrzyki umilkły, Hira Singh wstał, aby odpowiedzieć, bo był przecie najmłodszym synem królewskiej rodziny, synem syna królewskiego, i wiedział, jak się znaleźć w takich wypadkach. A wtedy rzekł w języku krajowym:

— Panie pułkowniku i oficerowie tego pułku! Uczyniliście mi wielki zaszczyt. Zapamiętam to

sobie. Przybyliśmy tu zdaleka, aby was w grze pokonać. Tymczasem zostaliśmy pobici. („Nie wazsa wina, Ressaider Sahib. Graliście na obcym terenie. Waszym kucom nogi zeszywniały w wagonach. Nie tłumaczcie się”). Z tego powodu, być może, przyjedziemy jeszcze raz, jeśli taki będzie rozkaz. („Słuchajcie. Słuchajcie. To dobrze. Brawo. Pst!”); a wtedy zadamy wam takiego bobu, („Z przyjemnością się z wami spróbujemy.”), że wasze kucyki nogi sobie połamią. Tyle co się tyczy sportu.

Tu oparł jedną rękę na gardzie szabli, a wzrok jego poszukał Dirkowicza, rozpartego w swym krzesle.

— Jeśli jednak z Bożego zarządzenia przyjdzie do innej gry, niż „polo”, niech pan będzie pewny, panie pułkowniku, i oficerowie, że rozegramy ją ramię w ramię, mimo, że oni —

— jego wzrok znów poszukał Dirkowicza — mimo, że oni, powtarzam, mają pięćdziesiąt kucyków na jednego naszego konia.

To rzekłszy, z głębokim „Runğ-ho”, które zabrzmiało, jak kolba muszkietu opuszczona na płyty kamienne, usiadł wśród tańca kieliszków.

Dirkowicz, który wciąż oddawał się koniakowi — temu straszemu, wspomnianemu już koniakowi — nic nie rozumiał, zaś złagodzone tłumaczenie nie mogło mu najzupełniej dać należytego wyobrażenia o „poincie”. Stanowczo, mowa Hira Singha była najlepszą mową tego wieczora i wrzała, jaka po niej nastąpiła, trwałaby może do świtu, gdyby naraz na dworze nie przerwał jej huk strzału, którego odgłos każdemu z biesiadników przypominał, że nie ma broni u boku. Dało się słyszeć szamotanie i krzyk bólu.

— Znowu kradzież karabinu! — rzekł adiutant, spokojnie opierając się o poręcz krzesła. — Oto skutki redukcjonowania posterunków. Przypuszczam, że warta go zabita.

Na płytach werandy rozległy się kroki zbrojnych ludzi i zdawało się, jakby coś ciągnięto.

— Czemuż nie zamknąć go w areszcie do rana? — mruknął pułkownik niechętnie. — Sierżancie, skoczcie - no i popatrzcie, czy mu tam czego nie przetrącili.

Sierżant kasyna wyskoczył w ciemność i po chwili wrócił z dwoma żołnierzami i kapralem; wszyscy mieli dziwnie niewyraźne miny.

— Złapano go na kradzieży karabinów, proszę pana pułkownika — rzekł kapral. — To znaczy, skradał się ku koszarom, obszedłszy główną wartę, proszę pana pułkownika, a posterunek powiada, proszę pana pułkownika...

Obwisła kupa szmat, podtrzymywana przez trzech ludzi, jęknięta. Nigdy nie widziano Afgana tak wynędzniałego i zdiadziałego. Był bez turbana, bosi, cały oblepiony błotem i nawpół żywy z pobicia. Usłysawszy głos bólu tego człowieka, Hira Singh drgnął zlekka. Dirkowicz wypił znowu kieliszek koniaku.

— Co mówi posterunek? — spytał pułkownik.

Że on mówi po angielsku, panie pułkowniku, — odrzekł kapral.

— I dlatego wprowadzacie go do jadalni, za-

miast odprowadzić do sierżanta? Choćby mówić wszystkimi językami świata, nie wolno."

Tłumok znowu jęknął i coś zamamrotał. Mały Mildred wstał i podszedł do niego, chcąc mu się przyjrzeć. Naraz odskoczył w tył, jakby otrzymał postrzał.

— Może byłoby lepiej, panie pułkowniku, odprawić ludzi, — rzekł do pułkownika ze śmiałością oficera, który wie, iż posiada pewne względy.

To mówiąc, wziął w ramiona tą obwiązaną łachmanami okropność i usadawił ją w fotelu. Zapomnieliśmy zaznaczyć, iż małość Mildreda pochodziła stąd, iż był tylko sześć stóp i cztery cale wysoki i odpowiednio szeroki. Spozrzegłszy, że oficer chce się zająć jeńcem, i że pułkownika wzrok zaczyna płonąć, kapral ze swymi ludźmi czym prędzej się oddalił. Biesiadnicy pozostali razem ze złodziejem karabinów, który oparł głowę na stole i zapłakał gorzko, beznadziejnie i żalostnie, jak małe dziecko.

Hira Singh skoczył na równe nogi.

— Panie pułkowniku, — rzekł — ten człowiek nie jest Afganem, bo oni płaczą Ail Ail i nie jest Hindusem, bo ci płaczą Oh! Ho! On płacze jak biali ludzie, którzy mówią Ou! Ou!

— Gdzie u licha zdobyłeś pan tą wiedzę, Hira Singh? — odezwał się kapitan drużyny Laszkarów.

— Postuchajcie tylko, — odpowiedział Hira Singh, wskazując skurczoną postać, płaczącego bez końca.

— On powiedział „Mój Boże”! — odezwał się znowu mały Mildred. — Wyraźnie słyszałem.

Pułkownik wraz z biesiadnikami patrzył na nędzarza w milczeniu. Straszna to rzecz słuchać, jak mężczyzna płacze. Kobieta może ikać górnym podniebieniem, wargami, czy czym chce, ale mężczyzna nie może płakać inaczej jak tylko przepo-
ną, a to rwie go na sztuki.

— Biedaczysko, — zauważył pułkownik, kaszląc gwałtownie. — Trzeba go posłać do szpitala. Zmiętoszono go trochę.

Ale adiutant kochał swe karabiny. Były to jak gdyby jego wnuki, bo oczywiście na pierwszym miejscu stali żołnierze. To też mruknął buntowniczo:

— Rozumiem, że Afgan kradnie, bo takim go Bóg stworzył. Ale nie mogę zrozumieć, dlaczego płacze. To tylko pogarsza sprawę.

Koniak musiał działać, bo Dirkowicz siedział rozparty w fotelu i podniósłszy głowę, zapatrzył się w sufit. Na suficie tym nie było nic nadzwyczajnego, wyjąwszy cienia w kształcie wielkiej, czarnej trumny. Skutkiem jakichś właściwości konstrukcji sali jadalnej ten cień pokazywał się zawsze, jak tylko zapalono świece. Apetytu to Białym Huzarom nie odbierało; przeciwnie, byli z tego raczej dumni.

— Czy on myśli płakać całą noc? — odezwał się pułkownik. — A może mamy tu siedzieć z gościem małego Mildreda, póki mu się nie zrobi lepiej?

Człowiek w fotelu podniósł głowę i obrzucił wzrokiem zgromadzonych przy stole.

— O mój Boże, — rzekł, i wszyscy zerwali się na równe nogi.

A wówczas kapitan Laszkarów zrobił coś, za co powinienby zostać odznaczony Krzyżem Zwycięstwa — w nagrodę za męstwo, okazane w boju z wznrastającą wciąż ciekawością. Zebrał oczami swą drużynę, jak w stosownej chwili pani domu zbiera oczami panie i zatrzymawszy się tylko przy krześle pułkownika, aby powiedzieć: „To nie nasza rzecz, rozumie pan, panie pułkowniku!” — wyprowadził swych ludzi na werandę i do ogrodu. Hira Singh, który wychodził ostatni, spojrzał na Dirkowicza, Ale Dirkowicz bujał duszą w swym własnym koniakowym rajcu. Wargi jego poruszały się bez dźwięku, a oczy wlepione były w trumnę na suficie.

— Biały! Zupełnie biały! — rzekł Basset-Holmer, adiutant, — Musi to być szkodliwy rene-gat. Ciekawy jestem, skąd on pochodzi.

Pułkownik wziął człowieka za ramię i potrząsnął zlekka, zapytał:

— Kto wy jesteście?

Nie było odpowiedzi. Człowiek znowu ogarnął wzrokiem całą jadalnię i spojrzawszy w twarz pułkownika, uśmiechnął się. Mały Mildred, który był zawsze raczej kobietą niż mężczyzną, póki nie zagrąbiono „Na koń”, powtórzył pytanie głosem, który byłby wyciągnął odpowiedź z gejeru. Ale ten człowiek uśmiechał się tylko. Siedzący u drugiego końca stołu Dirkowicz z wdziękiem zesunął się z krzesła na ziemię. Żaden syn człowieczy nie może na tym naszym ułomnym świecie bezkarnie mieszać koniakowi huzarskiego z huzarskim szampanem.

Tymczasem muzyka zaczęła grać marsza, który towarzyszył Białym Huzarom we wszystkich funkcjach od pierwszego dnia ich istnienia. Prędzej zgodziliby się na rozwiązanie pułku, niż na wyzreczenie się tej melodii, stanowiąc ona ich część składową. Nieznajomy wyprostował się w krześle i zaczął bębnić palcami po stole.

— Nie widzę najmniejszej przyczyny, abyśmy mieli zabawiać wariatów, — rzekł pułkownik. — Zawołać wartę i odesłać go do aresztu. Jutro zajmujemy się tą sprawą. Ale dajcie mu jeszcze kieliszek wina.

Mały Mildred napełnił kieliszek od „sherry” koniakami i podał go czelczynie. Wypił, — muzyka zaczęła grać głośniejsz, — on wyprostował się jeszcze bardziej. A naraz wyciągnął swe długie chude ręce, wziął w dłoń, leżący niedaleko od niego na stole, przedmiot i zaczął go pieścizotliwie gładzić palcami. Był to serwisowy, siedmioramienny lichtarz, który posiadał swą własną tajemnicę: miał on mianowicie siedem sprężyn, jedną w środku, a trzy po obu stronach i za pewnym pociśnięciem zmienił się w świecznik-kołowrotek. Człowiek ów znalazł sprężynę, znalazł ją i uśmiechnął się blade. Wstał z krzesła, przyglądał się przez chwilę jednemu obrazowi, przeszedł do drugiego — zaś cała sala śledziła go wzrokiem, bez słowa. Kiedy się zbliżył do kominka, potrząsnął głową jakby zawiedziony. Wzrok jego padł na srebrny odlew, przedstawiający huzara na koniu w pełnej gali. Pytająco wskazał palcem na odlew a potem na miejsce nad kominkiem.

— Co to jest? O, co to jest? — rzekł mały Mildred.

I dodał głosem, jakim matka mówiłaby do dziecka:

— To jest koń. Tak jest — koń.

Bardzo powoli przysłała odpowiedź w niskim, bezbarwnym, gardłowym tonie.

— Tak, ja — widzę. Ale — gdzie jest t a m e n ten koń?

Można było słyszeć bicie serc oficerów, kiedy cofali się, dając obcemu możność poruszania się po całej jadalni. Mowy już nie było o zawołaniu warty.

Znowu przemówił bardzo powoli:

— Gdzie jest n a s z koń?

Jednego tylko konia mają Biali Huzarzy, a portret jego wisi po drugiej stronie drzwi jadalni. Jest to srokacz dobosza, król muzyki pułkowej, który służył w pułku trzydzieści siedem lat i wkońcu został z powodu starości zastrzelony. Połowa zgromadzonych zdjęła obraz ze ściany i wtknęła go w ręce nieznanemu. Ten umieścił go na kominku; obraz zastukał, kiedy go jego biedne, drżące ręce ustawiły, a człowiek zatoczył się ku stołowi i padł na krzesło Mildreda.

A wówczas wszyscy razem zaczęli mówić, mniej więcej w ten sposób:

— Srokacz nie wisi nad kominem od sześćdziesiątego roku.

— Skąd on wie, że ten obraz tu był.

— Mildred, zapytaj go jeszcze.

— Co pan teraz robi, panie pułkowniku?

— Cóż, zaczęliśmy, pozwolimy biedakowi zmysły zebrać.

— Na nic, to człowiek obłąkany.

Mały Mildred podszedł do pułkownika i przez chwilę szeptał mu coś do ucha.

— Panowie, bądźcie łaskawi i zajmijcie swoje miejsca! — zawołał.

Oficerowie pośpieszyli ku swym krzesłom. Tylko krzesło Dirkowicza, tuż obok krzesła Mildreda, było puste, zaś mały Mildred usiadł na miejscu Hira Singha. Zdumiony sierżant napełnił kieliszki wśród głochej milczenia. Pułkownik zaowus się dźwignął, ale ręka jego drżała a wino wylewało się na stół, kiedy patrząc wprost na człeczynę siedzącego w krześle Mildreda, rzekł ochrypłym głosem:

— Mr. Vice — Królowa!

Była chwila pauzy, ale człowiek ów natychmiast zerwał się i odpowiedział bez wahania:

— Królowa, Bóg ją błogosławi!

I wychyliwszy swój kieliszek, złamał w palcach cienką jego nóżkę.

Dawno, bardzo dawno temu, kiedy cesarzowa Indii była jeszcze młoda a kraj nie znał nieczystych ideałów, było zwyczajem w niektórych pułkach, tłuc lub łamać szkło po wypiciu zdrowia królowej, ku niemałemu zachwytowi pułkowych dostawców. Dziś wyszło to już z użycia, ponieważ nie zostało nic do złamania, wyjąwszy tu i ówdzie nakazy rządu, a to dawno już zostało złamane.

— Niema wątpliwości! — rzekł pułkownik,

odetchnawszy głęboko. — On nie jest sierżantem. Na wszystko w świecie, kto to może być?

Wszyscy oficerowie zgodnym echem powtórzyli te słowa, poczym synęła się salwa pytań, która każdego człowieka mogłaby zbić z nóg. Nic dziwnego, że obdarty, zablocony intruz mógł tylko uśmiechać się i potrząsać głową.

Naraz z pod stołu, pogodny i uśmiechnięty, wynurzył się, zbudzony z pokrzepiającej drzemki Dirkowicz. Wynurzył się tuż obok nieznanego, który krzyknął naraz i padł przed nim na ziemię. Straszny był widok tej nagłej przemiany po chwale toastu, który wpłynął do pewnego stopnia kojąco.

Dirkowicz nie zrobił nawet ruchu, aby go dźwignąć, ale mały Mildred podniósł go natychmiast. Nie przystoi, aby „gentleman”, który umie odpowiedzieć na toast królowej, leżał u stóp oficera kozackiego niższego stopnia.

Wskutek tego szybkiego ruchu uniosła się górna część łachmanów nędzarza powyżej pasa, ukazując ciało usiane suchymi, czarnymi bliznami. Jedna jest tylko broń na świecie, która tnie równoległymi liniami, a nie jest to ani kij ani kół. Dirkowicz spostrzegł te piętna i źrenice jego oczu rozszerzyły się. Twarz mu się również zmieniła. Powiedział coś, co brzmiało jak gdyby „Kto wy takiej”, zaś człowiek ów pokornie i posłusznie odpowiedział: — „Czetyrie”.

— Co to znaczy? — rozległy się pytania.

— To jego numer. Rozumiecie panowie, to znaczy „numer czwarty” — tłumaczył Dirkowicz bardzo zmartwiony.

— Co ma oficer królowej wspólnego z jakimś numerem? — huknął pułkownik.

Groźny pomruk obiegł stół dookoła.

— Co ja mogę wiedzieć? — odpowiedział Rosjanin ze słodkim uśmiechem. — On jest — jak to się nazywa — ucieczka — zbieg, z tamtej strony.

Kiwnął głową w stronę ciemności nocnych.

— Niech pan go pyta, jeśli zechce panu odpowiadać, ale niech pan pyta jak najładniej, — rzekł mały Mildred, sadowiąc nieznanego w krześle.

Wszyscy uważali za rzecz w najwyższym stopniu niewłaściwą, że Dirkowicz spijał koniak, mówiąc po kociemu mrużącym, parskającym językiem rosyjskim do tego biednego stworzenia, odpowiadającego tak nieśmiało i z tak widoczną trwożą. Wobec tego jednakże, że Dirkowicz zdawał się go rozumieć, nikt się ani słowem nie odezwał. Wszyscy, pochyleni naprzód, dyszeli ciężko w pauzach rozmowy. Przy najbliższej okazji, gdy tylko nie będzie nic innego do roboty, Biali Huzarzy postanowili korporatywnie udać się do Petersburga na naukę rosyjskiego.

— On nie wie już kiedy, — zaczął mówić Dirkowicz, zwracając się do oficerów, — ale powiada, że to już bardzo dawno podczas wojny. Przypuszczam, że to musiał być jakiś nieszczęśliwy wypadek, bo mówi, że był z tym sławnym i świetnym pułkiem na wojnie.

— Rejestry! Rejestry! Holmer, przynieś pan rejestry! — zawołał mały Mildred.

Adiutant z gołą głową poskoczył do kancelarii,

gdzie przechowywano rejestry pułkowe. Wrócił właśnie w porę, aby móc jeszcze usłyszeć zakończenie przemówienia Dirkowicza.

— Oto dlaczego drodzy przyjaciele, z bólem serca muszę powiedzieć, że zaszedł tu przykry wypadek, którego można było uniknąć, gdyby on był przeprosił tego znieważonego przez siebie naszego pułkownika.

Zerwał się znów pomruk, który pułkownik starał się uciszyć. W tym nastroju nikt nie chciał wziąć na serio zniewagi pułkownika rosyjskiego.

— On sobie nie przypomina, ale ja myślę, że tu musiał być jakiś wypadek, bo jego po wymianie jeńców nie wymieniono, lecz zesłano do jakiejś miejscowości — jak się to nazywa? — na wieś. On nie wie, jak przyszedł. Był w Czepang.

Człowiek dosłyszał to słowo, skinął głową i zarżał.

— W Cygańsku, w Irkucku. Nie mogę pojąć, w jaki sposób zdołał stamtąd umknąć. Mówi także, że przez długie lata mieszkał w lasach, ale jak długo — sam już nie pamięta, zapomniał — jak i wielu innych rzeczy. To był przypadek, wywołany tym, że nie przeprosił tego naszego pułkownika. Ach!

Przykro powiedzieć, że Biali Huzarzy, zamiast powtórzyć wydane przez Dirkowicza westchnienie żalu i ubolewania, zaczęli, ledwo już hamowani poczuciem gościnności, okazywać żywą szatańską radość i inne uczucia. Holmer rzucił na stół zniszczone i pozółkłe rejestry, na które znów rzucili się oficerowie.

— Dalej, Dalej! Pięćdziesiąt sześć — pięćdziesiąt pięć — pięćdziesiąt cztery! — mówił Holmer. Otóż mamy. Porucznik Austin Limmason. Przepadł bez wieści. To było jeszcze przed Sebastopolem. Co za niezgłębiona podłość! Znieważył jednego ich pułkownika i został prosto unicestwiony. Trzydzieści lat wymazano mu z życia.

— Ale kiedy on nie chciał przeprosić. Oświadczył, że wolałby pójść do piekła! — zabrzmiał chór.

— Biedak. Zdaje się, że później nie miał już sposobności do przeproszenia. W jaki sposób tu się dostał? — zapytał pułkownik.

Brudny tobół na krześle nie mógł dać żadnej odpowiedzi.

— Czy pan wie, kim pan jest?

To - to uśmiechnęło się niewyraźnie.

— Czy pan wie, że pan jest Limmason — Limmason, porucznik Białych Huzarów?

Szybko jak strzał padła odpowiedź w lekko zdziwionym tonie:

— Tak jest, jestem Limmason, oczywiście.

Lecz czy jego zgąsły i biedny człowiek opadł, ze zgrozą obserwując każdy ruch Dirkowicza.

Ucieczka z Syberii, być może, utrwala w umyśle parę zasadniczych faktów, nie przyczynia się jednak prawdopodobnie do rozwoju ciągłości myśli. Człowiek ten nie mógł odpowiedzieć, w jaki sposób, nakształt gołębia, znalazł drogę do swej własnej, starej jadalni pułkowej. Nie pamiętał już nic

z tego, co wycierpiał, co widział. Płaszczyl się przed Dirkowiczem tak instynktownie, jak instynktownie odnalazł sprężynę świecznika, szukał obrazu srokacza i odpowiedział na toast na cześć królowej. Reszta była pustką, którą groźny język rosyjski częściowo tylko mógł usunąć.

Żyjący w koniaku szatan, podszeptwał Dirkowiczowi, aby w tej najzupełniej nieodpowiedniej chwili, wygłosił mowę. Lekko slaniając się wstał, chwycił się za brzeg stołu i zaczął z oczami płonącymi jak opale:

— Sławni żołnierze - bracia, przyjaciele wierni i gościnni! Był to nieszczęśliwy przypadek, opłakany — w najwyższym stopniu opłakany.

Tu uśmiechnął się słodko do całego stołu.

— Zechciejcie jednak chwilę zastanowić się nad tą małą, och, tak małą historią. Małutka — nie prawdaż? Car? Plewał! Plewał! — powtarzam, plewał mnie na cara! Czy w niego wierzę? Nie. Ale w nas, w Słowian, którzy nic jeszcze na świecie nie zrobili, w nas ja wierzę. Siedemdziesiąt — ile to? — milionów ludzi, którzy nic nie zrobili, nic a nic. Napoleon był tylko epizodem.

Uderzył ręką w stół.

— Słuchajcie, starzy, myśmy jeszcze niczego na świecie nie dowiadamy — trzeba powiedzieć prawdę. Nas robota dopiero czeka — i my swoje zrobimy, staruszkowie. Precz z dągi!

Rozkazująco skinął ręką i ukazał człeczynę.

— Widzicie go? Nieprzyjemnie na niego patrzeć. Oto właśnie jeden mały — och, tak mały — wypadek, że nikt o nim ani nie pamięta. A teraz on jest — t e m. Tak i wy będziecie wyglądali, sławni bracia - żołnierze — tak będziecie wyglądali i wy. Tylko, że żaden z was nigdy nie wróci. Wszyscy pójdziecie albo za nim, albo —

Tu wskazał wielki cień trumny na suficie i osunąwszy się na krzesło, zasnął, mrużąc:

— Siedemdziesiąt milionów — pa — a — szli, starzy!

— Cudownie i w samą miarę, — rzekł mały Mildred. — Ale poco się irytować? Lepiej zajmmy się tym biedakiem.

Ta sprawa jednak nagle a szybko wypłynęła się z kochających rąk Białych Huzarów. Porucznik wrócił po to tylko, aby odejść znów po trzech dniach, kiedy grzmot marsza żałobnego i szczękanie kopyt szwadronów oznajmiło zdumionemu garnizonowi, nie widzącemu żadnej luki przy stole jadalni kasyna pułkowego, iż jeden oficer tego pułku zrezygnował ze swej nowoznalezionej nominacji.

Zaś Dirkowicz, słodki, giętki i zawsze pogodny, odjechał wieczornym pociągiem. Odprowadzał go mały Mildred z jednym z kolegów, albowiem był przecież gościem pułku i nawet gdyby był wręcz pułkownika w twarz uderzył, prawo tego pułku nie pozwalało na zapomnienie o gościnności.

— Żegnajcie, Dirkowicz, szczęśliwej drogi, — rzekł mały Mildred.

— Do widzenia! — odpowiedział Rosjanin.

— Czyżby? Myśleliśmy, że pan jedzie do domu.

— Oczywiście, ale ja wróć. Moi drodzy przyjaciele, czy ta droga jest zamknięta?

To rzekłszy wskazał w stronę, gdzie gwiazda północna płonęła nad Khyberską przełęczą.

— Dalibóg! Zapomniałem o tym. Istotnie. Miło mi będzie spotkać się z panem każdej chwili, stary kolego. Ma pan wszystko, czego pan potrzebu-

je? Cygara, lód, poduszki... All right. — Do widzenia, Dirkowicz.

Hm, — rzekł drugi oficer, kiedy tylne światła pociągu zaczęły maleć. — Czy to tak bardzo potrzebne.

Mały Mildred nie odpowiedział, lecz wpa-trzywszy się w Gwiazdę Północną, zaczął nucić kuplet z najnowszej operetki „en vogue” w Simli, a która cieszyła się wielkim powodzeniem wśród „Białych Huzarów”:

Bardzo mi żal, mój panie Sinebrody,
Bardzo mi żal, mój miły, drogi panie,
Lecz jeśli pan powróci tu na gody,
Dostanie pan naprawdę straszne lanie.

S P O J R Z E N I A

Legenda na zamówienie

W żadnej z wojen dotychczasowych nie mówiono tyle o historii, co obecnie. Z posród państw wojujących na terenie Europy celują w tym Niemcy. Każde niemal wydarzenie wojenne załamuje się odrazu w ich wyobraźni w jakąś wizję historyczną, w którą będą kiedyś patrzeć osłupiałe z podziwu pokolenia. Zdarzenia otaksowane są z góry największą miarą chwały. Bitwa w Polsce i Francji była najszybszą wojną wszystkich czasów, bitwa na Wschodzie największą. Zdobycie Sewastopola zakwalifikowano jako najwspanialsze oblężenie twierdzy. Obrona Narwiku była jedyną w swoim rodzaju epopeją północy, raidy Rommla niezrównanymi przykładami wojny pustynnej. Przy Stalingradzie zbledły Termopile. Orel przewyższał wszystko w wojnie maszynowej.

Historyk dostaje tu materiał z góry zakwalifikowany i poświadczony przez relację współczesną wydarzeniom i zaop trzoną podpisami naocznych świadków. Bohaterzy walk są zakatalogowani i podzieleni na klasy, według rozmaitego stopnia rang i odznaczeń. Nigdy jeszcze dziejopis nie otrzymał tak gotowego i starannie przygotowanego materiału, ale kłopot będzie niemały, gdy po tak jedynych wyczynach nastąpi niezrozumiałe zjawisko klęski.

Jest jednak naród, który dbałością o historię prześcignął jeszcze Niemcy. Jest nim Japonia. Bitwy toczone przez nią otrzymują bowiem z góry swą legendarną nazwę. Spotkanie takie czy takie, słyszymy „będzie nazwane” tak i tak. Japończycy idą jeszcze dalej od Niemców, gdyż prowadzą wojnę nie tylko już dla historii, ale wręcz dla podręczników szkolnych. Bohaterzy ich dostają ponadto już dzisiaj pomniki i tworzą z góry galerię narodowych świętych. W ten sposób uprzedzona jest

niejako i sztuka i jej możność stworzenia sobie własnej wizji o wojnie. Nie dziwilibyśmy się, gdyby równoległe nie opracowywano gotowych powieści i dramatów na temat z góry uwiecznionych bitew.

Jest coś bardzo naiwnego, chciałoby się powiedzieć trywialnego w tej legendzie tworzonej na zamówienie, coś co ośmiesza i poniża rzetelną ofiarę krwi żołnierza niemieckiego i japońskiego. Istnieje w tej wojnie wiele wypadków niewątpliwie już wielkich, ale właśnie wojna ma to do siebie, że, aby okryła się chwałą, musi być wygrana.

Wojenna muza

Skazana na bezrobocie przez kagańcowe zarządzenia okupantów muza polska, znalazła oky licnościowe wcielenie w twórczości licznych teatrzyków i kabaretów warszawskich. Obok starszych, cynicznych wygów estrady, narasta w nich i nowe pokolenie „artystów”, którzy, jak to ktoś zauważył, „wyrabiają sobie nazwiska” na przyszłość. Nie wiemy co tych młodych ludzi pcha tak niepowstrzymanie do sceny. Prawdopodobnie głupia ambicja i chciwość łatwego zarobku. Istotą tych scenek jest płaski dowcip, kawał i kult „kantu”. Postawa wobec władz, aż do obrzydzenia lojalna. Są pewne dążenia, ażeby z tego nędznego i pospolitego światka zrobić sprawę narodową i zmusić go albo do powagi albo do zaprzestania działalności. Zdaniem naszym szkoda zachodu i energii. Walka z chołotą jest zadaniem raczej policyjnym niż ideowym. Ważniejszym zagadnieniem jest, aby budy dowcipnisiów, i macherów rozpedzić po wojnie, niż dziś. Powaga sprawy narodowej wymaga skupienia dokola poważnych spraw, których, doprawdy, nie

skąpi nam każdy dzień. W gruncie rzeczy jest w mieście tak dużym jak Warszawa, obojętne, gdzie jakaś panna pokaże goliznę a jakiś chłystek „puści kawał”. Jeżeli teatrzyków nie można załatwić zamknięciem kasy bez narażenia jednego człowieka — niech sobie grają... do czasu.

S a m o s ą d

W lipcu został zabity przez nieznaną sprawców znakomity aktor Kazimierz Junosza Stępowski. Zamach nosił wszelkie cechy zabójstwa politycznego. Żyjemy w czasach ciemnych i nikt z nas nie może na pewno powiedzieć, co czyni inny. Wyroki dokonywane przez „świat podziemny” jesteśmy skłonni aprobować z góry, sądząc, że muszą istnieć jakieś niezmiernie ważne przyczyny, jeśli ktoś bierze rewolwer do ręki i narażając własne życie, odbiera „bezinteresownie” życie drugiemu. A jednak z chwilą, kiedy z nieznanego nam wyroku ginie człowiek tak reprezentacyjny i dla sztuki polskiej zasłużony, jak Stępowski, musimy się zmagać, aby przyczyny zabójstwa były wyjaśnione, chociażby w postaci ogłoszenia, że śmierć wypadła rzeczywiście z postanowienia kogoś, kto bierze za nią odpowiedzialność. Kula, która przecież dosięgła Junoszę, trafia nie tylko w jego osobisty honor, ale i w honor sceny polskiej, sztuki polskiej i przez nią całego społeczeństwa. Jeżeli Stępowski popełnił coś tak nikczemnego, że zasłużył na śmierć, mimo, iż był znakomitym artystą, musimy być zaniepokojeni, gdyż mieliśmy inne pojęcie o atmosferze, w której żyje sztuka polska. Jeżeli został zabity, nie popełniwszy nikczemności, musimy być zaniepokojeni atmosferą, w której zapadają decyzje w sądach podziemnych. Liczymy, że w sprawie tej odezwie się miarodajny głos.

P a m i ę t a j m y ł

Każdy nasz dzień obfituje w tak liczne potworności, z których każda z osobna mogłaby przed wojną postawić na nogi świat cały, że stały się one czymś powszednim i powoli na nie obojętniejemy. Zachodzi przeto obawa, że gdy w końcu przeminie zmore okupacji, przeminie także pamięć niewiarygodnych zbrodni, zbłądną straszne wspomnienia i wszystko pochłonie fala wolnościowego entuzjazmu, a w niemałej mierze także i lenistwa duchowego, bo u nas, w Polsce, co z oczu to i z myśli. Zresztą, nie można by się nawet zdziwić, że zmęczone społeczeństwo chciałoby się przynajmniej na chwilę oderwać od strasznych wspomnień. Byłoby jednak nową zbrodnią, tym razem naszą własną, zbrodnią wobec tych, co poginęli. Jak i tych, co przyjdą po nas, gdyby niepamięć o tym wszystkim, co naród nasz przeżył od czasu wojny, miała być czymś trwałym. Wydrzeć światu, a nam przedewszystkim, wspomnienie niewiarygodnych okrucieństw, dokonywanych przez okupantów, to wyzbyć się jednego z najkosztowniejszych w dziejach naszych doświadczeń, to w pewnej mierze uczynić wszystkie te ofiary czymś bezowocnym, to właściwie dopuścić myśl powrotu tej hańby ludzkości, jaką są czyny okupantów w Europie całej, a w Polsce w szczególności. A temu musimy my wszyscy,

k którzy stoimy dziś przeciw barbarii powiedzieć: nigdy już!

By jednak to „nigdy już” było możliwe, musi nastąpić dokładna rejestracja okupanckich zbrodni i ukazania ich całemu światu, aby doświadczenia nasze stały się doświadczeniem także wszystkich narodów, także Niemców i Rosjan, którzy muszą dowiedzieć się, czego dokonywali, by, jeśli jest w nich choć odrobina już nie sumienia, ale rozumu, uderzyć się mogli w piersi. Dlatego obowiązkiem każdego z nas jest pamiętać, pamiętać jak najdokładniej, z wszystkimi szczegółami, zamienić każdą pamięć polską w archiwum, aby nic ze strasliwego doświadczenia nie uronić.

Rocznica Hoelderlina

Afiszę rozgłosiły, że i w Warszawie, niemy świętować będą setną rocznicę wybitnego poety, imię którego dla współczesnych Niemiec odkrył właściwie... Gustaw Landauer. Gdyby jakiś volksdeutsch, napewno nie znający imienia Hoelderlina, sięgnął z ciekawości do popularnej historii literatury niemieckiej, zdziwiłby się bardzo, gdyby czytał tam, iż za głównego wroga człowieka uważał ten poeta „nieznośną wsze-hmoc państwa” i że bardzo był niedobrego mniemania o narodzie niemieckim. Ktoby zaś sięgnął do głównego dzieła Hoelderlina „Hyperiona”, znalazł by między innymi takie zdania o Niemcach: „cnoty Niemców są tylko błyszczącym złem i niczym więcej; bo są one tylko tworem doraznym, który nędzny strach wyściska w niewolniczym trudzie na jałowym sercu, i wtrącają w rozpacz każdą czystą duszę, co przyzwyczajona do świętej harmonii szlachetniejszych natur, nie potrafi znieść zgrzytów, jakimi krzyczy cały martwy ów ład tych ludzi. Powiadam ci: nie ma nic tak świętego, czego by nie zbeszczeszczono, czego nie ponizono by u tego ludu do najnędźniejszego nakazu, a co nawet u dzikich zazwyczaj utrzymuje się w boskiej czystości, to ci wszyscy wyrachowani barbarzyńcy uprawiają, jak się uprawia rzemiosło, i nie mogą inaczej; bo gdziekolwiek istota ludzka jest tresowana, tam służy to tym celom. Lecz ty pomścisz się, święta naturo! Bo żeby przynajmniej skromni byli ci ludzie, nie czynili samych siebie prawem dla lepszych wśród siebie! Żeby przynajmniej nie bluźnili, czyniąc się nie wiedzieć czym, a bluźniąc nawet, żeby przynajmniej nie urągał temu, co Boskie!”

Kto wczyta się w ten tekst, ten z łatwością odnajdzie w słowach Hoelderlina z przed stu pięćdziesięciu lat, duchowy wizerunek współczesnych Niemców. Całe szczęście dla kalibana, że się nigdy w lustrze nie poznaje. Inaczej trzeba by przy sposobności rocznicy tak Hoelderlina skurtyzować, jak to już zrobiono z Nitzschem, który w ten tylko chyba sposób mógł się stać prorokiem nazizmu, że go, gdzie tylko było można... obrzezano.

Skradzione męczeństwo

Propaganda niemiecka zarzuciła wszystkie instytucje warszawskie bogato ilustrowaną broszurką o losie kobiety w bolszewii. Niezły los w bolszewii nie jest pozadzroszczenia godnym, a więc i

kobiety także. Zależy zresztą której: bo n.p. pani Litwinow ma się wcale nieźle. Cała broszura nie byłaby zresztą godna wzmianki, gdyby nie ilustracje na ostatnich stronach. Rysy twarzy, ubiór i wszystkie szczegóły świadczą, że fotografie te nie są bynajmniej sowieckiego pochodzenia, lecz zrobione zostały prosto w warszawskim i innych ghetach. Użyto co było pod ręką. Może jednak chodzi tu o coś więcej. Tu bowiem objawia się w całej pełni ta finezja i perwersja zbrodni, do jakiej daleko bolszewickim „chamom”.

Popełnić zbrodnię równą zbrodni ghetta potrafią i oni, jak to nie dawno udowodnił Katyń. Ale sfotografować swe ofiary i wykorzystać je dla własnych celów, odrzec trupy z jedyne go co im zostało, z męczeństwa, i to nawet przehandlować, na to stać tylko obrońców „zachodniej kultury” przed zalewem bolszewizmu. Skrać męczeństwo, tego bolszewicy już nie potrafia. Broszura panów z propagandy dała nam zaiste subtelną lekcję różnicowania pomiędzy bestialstwem niemieckim a rosyjskim.

Sprawa rewindykacji kulturalnych

W połowie sierpnia b. r. „New York Times”, uchodzący za organ prez. Roosevelta, ogłosił niezmiernie żywo obchodzący nas artykuł o możliwościach rewindykacji polskiego mienia kulturalnego od Niemiec. Pismo stoi na stanowisku, iż Niemcy będą musieli zwrócić mienie to, zrabowane w Polsce, a także, o ile to będzie niemożliwe albo też o ile szkody wynikłe ze zniszczenia np. budynków i t. p. są nie do naprawienia, będą oni musieli zwrócić odpowiednik w naturze, przyczym zaznaczono, że Polska może podnieść niejedną pretensję do skarbów kulturalnych w Niemczech, jakie się tam znalazły od czasów Augusta Mocnego. Szczegóły te świadczą, że autorem artykułu był ktoś, kto jest dobrze poinformowany o stanie rzeczy i dziś i w przyszłości.

Treść tego artykułu polecamy pamięci i uwadze ludzi w tym względzie u nas kompetentnych. Galeria drezdeńska, dzieło obydwóch Augustów, elektorów saskich ale i królów polskich, w niemałej mierze powstało z zasobów państwa polskiego. Das grüne Gewölbe w dwóch trzecich składa się z przedmiotów związanych z historią Polski i z Pol-

ski niewątpliwie pochodzących. Lista pretensji polskich do mienia kulturalnego, zawleczonego do Niemiec, a także do Austrii, jest z pewnością niemała, aż po ona Madonnę muzeum berlińskiego, którą miano już po tamtej wojnie zwrócić Polsce a zwrócono tylko — kopię. Jeśli by się nam nawet tytułem rekompensaty dostały dzieła niemające bliższej łączności z Polską, może udałoby się drogą zamiany za równowartościowe dzieła uzyskać powrót np. słynnego szlachcica polskiego (Sobieskiego?) z Ermitażu, albo Lisowczyka z Ameryki, gdzie może na szczęście wywędrował przed trzydziestu laty, bo kto wie co by się z nim było stało w czasie wojny. Obydwa te dzieła Rembrandta powinny się znaleźć w naszej Galerii Narodowej.

Cała ta sprawa jest sprawą niemałej wagi i wymaga już dziś pilnego zajęcia się nią. Caveant consules artium.

Pijactwa narodowe

Fakt kapitulacji rządu Badoglio dał pochop Warszawie a być może i całej Polsce do wielkiego „narodowego” oblewania sprawy, Ulice miasta były pełne pijaków i wielu wątpliwej daty patriotów manifestowało swego ducha zataczając się bełkocąc na oczach niemców. Nikt nie odmawia w tych ciężkich czasach rodakom prawa do radości z powodu klęsk wroga i związanej z nimi nadziei na lepsze czasy. Ale picie na umór z powodu zdarzeń arcyważnych jest oznaką plugawej słabości i niczym więcej. Zwracamy uwagę na tą sprawę tym usilniej, że krąży po ludziach powszechna legenda o oczekującym naród polski generalnym „zalaniu pały” na koniec wojny. Zwyczajski toast jesteśmy gotowi wznieść razem z wszystkimi lecz jeden raz, naprawdę po końcowej chwili. Do tego czasu obowiązuje nas trzeźwość, bo jesteśmy krajem pełnym niebezpieczeństw, który nie może sobie pozwolić na chwilę zapomnienia i wystawiony jest na próbę charakteru, jak jeszcze nigdy w swych dziejach. Apelujemy wreszcie i do poczucia godności narodowej. Ponieśliśmy i ponosimy w tych czasach niezmiernie ciężkie ofiary. Lubimy nazywać się Polską Walczącą, Cierpią i walczą ludzie trzeźwi. Pijacy skomla i robią burdy. Cztery lata naszych cierpień i walk stanowi zobowiązanie, wobec którego nie wolno dawać sobie folgi.

W POLSKICH DOMACH

czyta się i rozważa wydane w ostatnim czasie następujące aktualne broszury:

- 1) Wojna polsko-niemiecka z 1939 roku.
- 2) Rozwój sił zbrojnych w Polsce.
- 3) Mobilizacja sił zewnętrznych Polski.
- 4) Polska i Anglia.
- 5) Tężyzna narodu polskiego na przykładach.
- 6) Polska — Rosja.
- 7) Hitlerizm czy Niemcy.

Czy zapoznałeś się już z treścią tych broszur?

Są one do nabycia w cenie po 10 zł za egzemplarz za pośrednictwem osób rozpowszechniających nasze czasopismo.

PII
428
1943